STR. 5

WESOŁO JAK NA IMIENINACH U KERMITA

HAPPY BIRTHDAY, MICKEY MOUSE! — najlepsze życzenia urodzinowe, Miki!

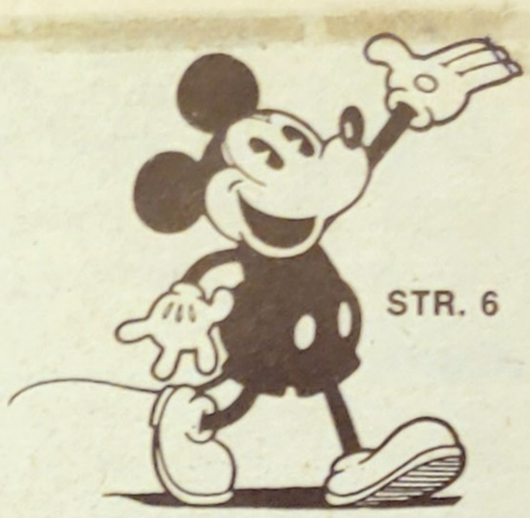

STR. 6

WTOREK Nr 61 88-05-24 Cena 25 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

- BON PKO WARTOŚCI 15 000 ZŁ
- BONY PKO WARTOŚCI 10 000 ZŁ
- BONY PKO WARTOŚCI 5000 ZŁ
- WYRÓŻNIENIA KSIĄŻKOWE

czekają na Ciebie!

REPORTER Świata Młodych

WIELKI KONKURS LIGI REPORTERÓW

pt.

SKĄD TWÓJ RÓD

11 listopada 1918 roku Polska odzyskała niepodległość. Wielka była radość, ale też wielka praca czekała wszystkich. Z trzech dzielnic, przez ponad wiek należących do różnych mocarstw, formowało się jedno państwo.

Społeczeństwo różniło się tradycjami, poglądami politycznymi, gospodarnością. Wszystkie te odmienności musiały się zespolić w jedno państwo. Biedni i bogaci, wykształceni i analfabeci, mieszkańcy zamożnych dworów i ubogich lepianek różne wiązali nadzieje z odzyskaniem niepodległości, z formowaniem się Rzeczypospolitej.

Jak było, jak układały się losy Polaków — oto zadanie konkursowe. Przedstawcie ludzi z tamtych lat, opiszcie ich uczestnictwo w budowie odzyskanej Polski. Sięgnijcie do wspomnień Waszych dziadków i babć, dowiedzcie się, gdzie tkwią korzenie Waszej rodziny sprzed 70–60–50 lat. Zajrzyjcie do starych szuflad, dokumenty potrafią wiele powiedzieć!

Oto szczegółowe pytania, które pomogą w poszukiwaniach i opracowaniu konkursowego reportażu:

● W jakim byłym zaborze mieszkali Twoi przodkowie i czym się trudnili w momencie odzyskania niepodległości w 1918 roku? ● Czy pracowali na wsi, czy też w fabryce i do kogo ona należała? ● Może pracowali na kolei lub budowali przemysł na przykład w Centralnym Ośrodku Przemysłowym? ● Może byli właścicielami wielkiego majątku i powodziło im się doskonale? ● A może musieli emigrować w poszukiwaniu pracy i chleba? ● Jakie mieli ideały i czy się one spełniły? ● Może Twój pradziadek był nauczycielem w wiejskiej szkole lub lekarzem w dzielnicy robotniczej Łodzi?

Dowiedz się, zainteresuj, spisz wspomnienia! Dołącz historyczne fotografie, dokumenty! W redakcji nie zginą, otrzymasz je z powrotem po wykonaniu reprodukcji. Pisz czytelnie, postaraj się o atrakcyjną formę swojej pracy. Nagrody czekają na najlepszych! Może to właśnie Twoja praca będzie najciekawsza? Życzę powodzenia!

Szef
Ligi Reporterów

Adresuj jak zawsze: LIGA REPORTERÓW, RED. „ŚWIAT MŁODYCH", UL. MOKOTOWSKA 24, 00-561 WARSZAWA, z dopiskiem na kopercie SKĄD TWÓJ RÓD.

Liderzy szkolnego boiska

NIE MA SPRAW TRUDNYCH

Pana Stanisława Kazimierczaka (na zdjęciu) znają w Kole wszyscy. Były nauczyciel szkoły nr 3 jest obecnie na zasłużonej emeryturze, ale jeszcze nie myśli o odpoczynku. Pełniąc funkcję sekretarza Zarządu Miejskiego SZS wciąż organizuje przeróżne zawody dla tamtejszych uczniów. Jest dosłownie chory, kiedy widzi puste boiska i z niesłabnącym zapałem pragnie je zapełnić. Sam niegdyś trenował i wie, że życie bez sportu lub czynnego relaksu jest mało ciekawe, a człowiek bez fizycznej kondycji może nie sprostać wszystkim obowiązkom. I chyba dlatego pan Kazimierczak potrafi wywijać 50-kilogramową sztangą jak woźnica batem, od rana do późnego wieczora być w ciągłym ruchu.

Nie ma dla niego spraw trudnych do załatwienia, rzeczy niemożliwych do osiągnięcia. Przekonaliśmy się o tym chociażby w roku ubiegłym, kiedy organizowaliśmy w Kole finał krajowy naszego wakacyjnego turnieju piłkarskiego. Jego szefem obrano oczywiście pana Stanisława. Imprezę tak przeprowadził, że zadowoleni z niej byli wszyscy uczestnicy — niezależnie od zajętych lokat.

Marzy mu się sport powszechny i ubolewa, że coraz trudniej znaleźć kandydatów do sumiennego treningu. Ale nie załamuje rąk. Jako społeczny działacz SZS pracuje solidnie jak dawniej, kiedy to ze swoimi uczniami gromił inne drużyny w większości zespołowych dyscyplin.

(zp)

Fot. **Z. Przybyłowski**

Warto pojechać do Puszczykowa

W Puszczykowie koło Poznania, w domu, w którym mieściła się pracownia Arkadego Fiedlera, zebrano tysiące pamiątek dokumentujących życie i twórczość tego znakomitego pisarza i podróżnika. W przyległym ogrodzie zwiedzający mogą obejrzeć kopie rzeźb spotykanych przez pisarza podczas licznych podróży po świecie. Są tam więc między innymi indiańskie totemy, rzeźby wojowników z Meksyku, Brama Słońca z Boliwii, a także (widoczna na zdjęciu) głowa z Wyspy Wielkanocnej.

Fot. **CAF**

NOWE ŹRÓDŁO NAPĘDU STATKÓW

Jedno z japońskich konsorcjów przemysłowych, zajmujących się m. in. budową statków, pracuje nad zupełnie nowym silnikiem okrętowym. Siła napędzająca statek nie byłaby wytwarzana przez obracającą się śrubę, lecz przez specjalnie skonstruowaną dyszę. Woda zasysana spod dna statku byłaby wprawiana w ruch w sposób elektromagnetyczny, a następnie, wyrzucana z dużą siłą, wprawiałaby w ruch jednostkę pływającą. Będący aktualnie w próbach dwumetrowy model osiąga przy zastosowaniu tej techniki prędkość blisko 8 km/godz. Warto przy okazji wspomnieć, że oparte na podobnej zasadzie silniki przepływowe produkowane są już od wielu lat w Polsce, m. in. w stoczni Marynarki Wojennej na Oksywiu. Wykorzystują one jednak nie elektromagnetyczny sposób wprawiania w ruch strumienia wody, lecz klasyczny system pomp, tyle tylko, że o wysokiej sprawności.

Redaguje LECH BĄK

KROK SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Adventure

Każdy kto używał komputer, ten na pewno choć raz zagrał lub przynajmniej widział gry komputerowe, wśród których znaleźć można różne ich rodzaje: adventure (przygodowe), strategiczne, edukacyjne i typu arcade czyli "bum-bum" to znaczy strzelaj i uciekaj. Gry adventure (trudno przetłumaczyć tę nazwę na język polski, ale chyba najlepiej nazwać je "przygodówki") ostatnio są coraz bardziej popularne. Wiadomo kto "wyrósł" z gier komputerowych typu "bum-bum", ten poszukuje mądrzejszych komputerowych rozrywek. Firmy produkujące oprogramowanie zadbały o takich odbiorców. Prawie każdy komputer może być partnerem w grze w szachy lub w warcaby. Ale nie tylko; dla amatorów reversi (inaczej zwana otello), go, brydża również są przygoto-

Cd. na str. 2

POZNAJEMY KOMPUTERY

Mikroprocesor: 8088–1.
Częstotliwość zegara: 4.77 lub 8MHz.
Pamięć RAM: 256–640 KB.
Pamięć ROM: 32 KB.
Monitor: 14-calowy monochromatyczny lub RGB.
Tryby wyświetlania: graficzny 640 × 200 dwubarwny, 320 × 200 czterobarwny, tekstowy 80 × 25.
Sprzęgi (interface): równoległy drukarki, szeregowy RS232, joystic.
Pamięć zewnętrzna: dyskietki 51/4 cala 360 kB i dysk stały 20MB.
Przeznaczenie: profesjonalny komputer biurowy.
Oprogramowanie: system operacyjny: MS DOS, całe oprogramowanie dla komputera IBM PC.

Uwagi: komputer zgodny z IBM PC z przeznaczeniem do prac biurowych lub inżynierskich.

REPORTER Świata Młodych

MAMA, TATA I JA

Kocham ich

Mam 14 lat, czytam „ŚM" od dawna i bardzo interesują mnie problemy współczesnych nastolatków poruszane tu dość często. Myślę, że stwierdzenie Ani z Suwałk: „są najbliższe naszym sercom" — jest naprawdę dobre, jeżeli chodzi o tak delikatne sprawy.

Chciałabym też napisać coś o mojej rodzinie, a więc: jestem jedynaczką i wcale nie rozpieszczoną (jak to się ogólnie mówi). Moi rodzice pracują i dopiero po południu są w domu. Mama pracuje przy komputerach, wykonuje więc pracę umysłową. Gdy przychodzi do domu, jest bardzo zmęczona i czasami bolą ją plecy od ciągłego siedzenia przy biurku. Wieczorem długo tkwi w swojej domowej pracowni, bo układa programy i gry, a potem je sprawdza, ulepsza, zmienia. Nie ma więc czasu na domowe pichcenie ani sprzątanie. Moją mamę darzę wielkim zaufaniem, ale rzadko zwierzam się jej ze swoich problemów. Ona wie, że ją kocham i cieszy się, gdy powierzam jej swoje tajemnice.

Mój tata jest bardzo dobry, wesoły, sympatyczny, towarzyski i konsekwentny. Pracuje we własnym warsztacie samochodowym jako mechanik razem z moim wujkiem, który jest lakiernikiem. Najczęściej kończy pracę o godz. 16.00–16.30. Gotujemy wspólnie obiad, potem go wspólnie jemy, a później każdy zajmuje się swoimi sprawami. Ja odrabiam lekcje, mama pracuje lub ogląda wraz z tatą filmy, albo też czytają książki, rozmawiają. Często się śmiejemy. Gdy czegoś nie rozumiem, tata lub mama mi tłumaczy. W przyszłości chciałabym, aby moja własna rodzina była podobna do tej, którą teraz tak bardzo kocham.

Kasia
Bydgoszcz

Nie znoszę tych wypominań!

Nie mogę napisać, że mam wspaniałych, cudownych rodziców, że rozumiemy się. Mimo to bardzo rodziców kocham, co nie przeszkadza mi od czasu do czasu ich nie cierpieć. Najczęściej zdarza się to, gdy mama wypomina tacie, że pochodzi on ze wsi lub że jest prymitywny. Przecież to nieprawda! Powstrzymuję się, żeby nie wykrzyczeć mamie, co o niej myślę w takich momentach. Mój tatuś studiował zootechnikę i miał same oceny bardzo dobre, oglądałam jego indeks. Nie rozumiem, dlaczego mama mówi, że jest „ograniczony". Często gdy tata rozmawia z kimś — podziwiam, jaki jest mądry i oczytany. Ja także chciałabym być taka. Nie czuję tego np., gdy mama z kimś rozmawia. Ona jednak traktuje tatusia z góry. Pragnę, żeby się to zmieniło.

Rodzice nie rozpieszczają mnie, nie kupują ciuchów z Pewexu, chociaż jestem jedynaczką. Nie wypominam im tego i tak mam bardzo ładne ubrania. Prawie co roku jeżdżę za granicę, ponieważ mama albo tata wyjeżdżają na stypendia lub na praktyki ze studentami. Jestem im za to bardzo wdzięczna, gdyż zwiedziłam wiele krajów. Jednak nigdy jako dorosła osoba nie będę naśladować swych rodziców. Będę naprawiać to, co uważam w ich zachowaniu za złe.

Joanna (l. 13)

Ja tak nigdy do swojego dziecka nie powiem

Tata, mama, jakże bliskie słowa. Bliskie Wam, ale nie mnie. Wszystkie te krótkie opowiadanka, które czytam o Waszych domach i rodzinach wydają się tak piękne i tak dalekie od mojego domu...

Jestem dzieckiem nieślubnym — a może nawet nie chcianym. Pół roku temu umarła babcia. Ona była dla mnie jak prawdziwa matka. Ją jedną kochałam całym sercem.

Kilka lat temu matka poznała (chyba szóstego z kolei) faceta. Przyprowadzała go do domu. Mówiła — mój narzeczony. Ona mnie nigdy nie wychowywała. Dawniej, jakieś 3–4 lata temu dało się jeszcze słyszeć: „córeczko, choć do mamy, pójdziemy do kina" itp., ale teraz zmieniła się bardzo. Wychodzi z rana o 6.00 do pracy, wraca koło 17.00, robi obiad, co zajmuje jej godzinę i wychodzi. Później przychodzi koło 22–23. Nie wiem, czy w ogóle w ciągu dnia zamienia ze mną ze cztery zdania.

Aha, zapomniałam, że ten pan od niespełna roku jest moim ojcem. Ale ja go nie uznaję, mówię do niego „proszę pana". Ja go strasznie nie lubię, choć wiem, że on lubi mnie. Może gdyby został moim ojcem 16 lat temu, wszystko ułożyłoby się inaczej? Pamiętam taką sytuację: przyszli goście na święta, a ja mu mówię per „pan", więc wszyscy byli trochę zdziwieni. To go też musiało poruszyć, bo powiedział: jestem twoim ojcem, dlaczego mówisz mi pan? No i jeszcze coś tam dodał. Wtedy ja wstałam i powiedziałam, że obcy facet nigdy nie będzie moim ojcem i nigdy nie powiem mu inaczej jak „pan".

W ogóle to ja im zawadzam. Szczególnie — matce. Ile to razy powtarzała „idź do cholery", „wynoś się z mojego domu". Ciągle podkreśla, że to jej dom i ja nie mam żadnych praw. Jest dla mnie bardzo oschła. Ileż to razy byłam tak wykończona tymi wyrazami, które do mnie kieruje.

Niecały rok temu poznałam chłopca starszego ode mnie o 3 lata. Może to niektórym wydaje się śmieszne, ale poznałam go korespondencyjnie. No i piszemy do siebie. On jest taki inny od tych wszystkich wulgarnych chłopców, których widzi się codziennie na ulicach. Mogę powiedzieć, że chyba nawet się w nim zakochałam.

Moim największym marzeniem jest zamieszkać gdzieś w innym mieście i wyrzec się matki. Bo przecież przysłowie mówi: „Jak Bóg Kubie, tak Kuba Bogu". Przekona się, co ja kiedyś czułam. Wiem, że byłam, jestem i będę nie chcianym dzieckiem. Nie byłam oczekiwana ani nigdy naprawdę kochana. Chciałabym mieć prawdziwą matkę (mieszka w moim bloku pani, która mnie kocha i ja ją też bardzo lubię), chciałabym mieć ojca, który by mnie uświadamiał w różnych sprawach i bardzo chciałabym mieć starszego brata, który naprawdę kochałby mnie taką jaka jestem, z moimi wadami i zaletami.

Myślę, że kiedy w przyszłości urodzę dziecko, będę je kochała i wychowywała, żeby w przyszłości i ono mnie kochało. Żeby czuło się potrzebne. Dam mu, a przynajmniej postaram się dać mu to, czego ja nigdy nie dostałam. Na pewno nie powiem mu nigdy — „wynoś się do jasnej cholery".

Małgośka

W moim domu nie będzie dymu

W domu jest nas dużo (starsza siostra, młodszy brat i siostra), ale starczyło jeszcze miejsca dla kota, psa, kanarka i chomika. Mój dom jest miejscem, w którym wszyscy lubimy przebywać. Gdy kogoś z nas nie ma, wtedy jest smutno. Nasi rodzice są wspaniali: pozwalają nam chodzić na dyskoteki, do kina, zapraszać do domu kolegów i koleżanki. Autorytetem dla mnie jest tata — nauczyciel biologii, którego bardzo kocham. Tata lubi z nami pożartować, pograć w różne gry i prawie cały wolny czas poświęca mnie i mojemu rodzeństwu. Bardzo lubi sprawiać nam częste niespodzianki. Jednego czego nasz tata nie lubi to bałaganiarstwo. Ja i moja siostra o tym pamiętamy, ale mój braciszek, który ma dopiero 4 lata, czasami o tym zapomina i tata wtedy udaje, że się gniewa. Mama — nauczycielka języka polskiego, to półanioł! Jest dobra jak anioł, a gotuje jak najwspanialszy kucharz. Nasz dom jest gniazdem rodzinnego szczęścia, ale... no właśnie, jest jedno „ale". Papierosy, których w domu jest za dużo. W moim domu stanowczo nie będzie papierosów!

Jola G.

Potrzebuję miłości

Mój ojciec nie żyje już od 11 lat. Oprócz mnie i mamy mieszka z nami babcia i brat. Po śmierci taty wychowuje nas babcia i od tej pory są u nas kłótnie i spory pomiędzy nią i mamą. Tak jak to wynika z przysłowia: „Matka z cerą, ciągle się żerą".

Ja mam na szczęście charakter po tacie, ale za to mój brat, niestety, po mamie, a dwie osoby o tych samych charakterach nigdy się nie zgodzą! Mama jest nauczycielką i gdy wraca ze szkoły ma cały stos zeszytów do poprawienia, a często przychodzi do domu późno, bo pracuje dodatkowo. Dlatego też nie ma dla mnie dużo czasu (oprócz sobót i niedziel). Często proszę ją, żeby ze mną poszła na spacer, do kina i żeby oderwała się od tej „gonitwy", bo choć mam prawie 14 lat potrzebuję trochę miłości, której nie mógł mi zbyt wiele dać tata, bo nie zdążył. Bardzo mi jest go brak. Dziękuję za miejsce w „ŚM", bo potrzebowałam tego, żeby komuś to wyznać. W przyszłości będę poświęcać więcej czasu swoim dzieciom.

Asik

REDAKCYJNA POCZTA

Brakuje mi rodzinnego ciepła

Mam 14 lat, chodzę do VII klasy. 6 lat temu zmarła mi mama i do dziś nie mogę się z tym pogodzić. Może między innymi i dlatego, że tato nie potrafi mnie zrozumieć. Ostatnio np. zginęła mu pożyczona kaseta i zrobił straszną awanturę. Gdy powiedziałam, że moja kaseta zginęła także, to zabrał mi wszystkie kasety i magnetofon oraz kazał mi w ciągu miesiąca znaleźć te zaginione kasety. Jeżeli ich nie znajdę, to będzie źle. Zabronił mi także wychodzić na dwór.

W sumie nie poświęca mi ani chwili czasu. Sprawdza mi tylko dzienniczek i wyrywa kartki z zeszytu z powodu jednego czy dwóch błędów. Najlepiej czuję się u babci ze strony mamy. W domu długo nie wytrzymam, mam ochotę uciec stąd, jak najdalej.

Mam dwie przyjaciółki i jest mi z nimi bardzo dobrze, lecz wciąż brakuje mi ciepła rodzinnego, miłej atmosfery rodzinnej w domu. Mój tata nie potrafi jej stworzyć, a ja się nawet nie staram. Proszę, pomóżcie, doradźcie bo już naprawdę nie mam sił. Napiszcie, może ktoś ma takie kłopoty jak ja.

„Małolata"

Uczniowie zwracają się do woźnych niegrzecznie

Piszę w sprawie listu Kingi (z nr. 28 „ŚM") pt. „Woźne też trzeba szanować".

U nas w szkole jest tak samo jak u Kingi. Uczniowie zwracają się do woźnych wulgarnie i niegrzecznie, a nawet używają takich zwrotów jak np.: „Ty, babcia, otwieraj mi tę szatnię, bo jak cię"... dalszego ciągu można już się domyśleć. Przecież te kobiety nie są żadnymi naszymi służącymi. Przede wszystkim muszą wykonywać polecenia pani dyrektor, a nie nasze, (klasom nie wolno otwierać szatni, jeżeli nie ma przy nich nauczyciela — bardzo dużo rzeczy u nas ginie) nie wygrały przecież nóg na loterii.

Miśka

U nas też strasznie dokuczają woźnym i szatniarzowi

Chodzę do V kl. U nas woźne też traktowane są okropnie, a szczególnie szatniarz. Przezywają go: „Bonifacy", „Dziadek" i innymi okropnymi przezwiskami.

Nie mogę na to patrzeć i słuchać. Jeśli woźny zbyt długo nie przychodzi otworzyć szatni, to wszyscy zaczynają przeklinać, pluć lub drzeć się na cały korytarz. Robi się wtedy tłok i trudno jest wytrzymać. Proszę, wydrukujcie mój list. Wiele osób z mojej Szkoły Podstawowej nr 10 w Głogowie czyta „Świat Młodych". Może się poprawią, kiedy przeczytają mój list.

Dzidzi

Kpią z nich...

Kinga pisała, że w jej szkole uczniowie bardzo dokuczają paniom woźnym. Niestety, nie tylko w szkole Kingi dzieją się takie rzeczy. W szkole, do której ja chodzę, również nie szanują tych kobiet. Po prostu sobie z nich kpią, nie biorąc pod uwagę, że są to osoby dużo starsze. Z przykrością muszę stwierdzić, że postępują tak nie tylko chłopcy, ale i dziewczęta. Źle to świadczy o ich kulturze i wychowaniu. Zwracam się teraz do wszystkich, którzy nie szanują woźnych lub innych starszych ludzi, żeby zastanowili się co robią.

„Jaki masz stosunek do innych, taki oni będą mieli do ciebie" — mówi stare powiedzenie, o czym przypominam tym, którzy tak postępują.

Ewa z Wołomina

Cd. ze str. 1

wane programy. Dzisiaj chciałem napisać o przygodówkach.

Niedawno w ABC prezentowana była taka gra napisana przez uczniów szkoły średniej pod tytułem "Smok Wawelski". Jeśli ktoś z Was grał w nią lub jakąkolwiek inną przygodówkę ten zapewne zastanawiał się nad tym, w jaki sposób taki program został skonstruowany oraz czy trudny jest do realizacji. Zapewne najwięcej kłopotu przy opracowaniu takiej gry nastręcza zaprojektowanie scenariusza. Potem to już typowa robota programisty, w której niezbędne są odpowiednie narzędzia (przez narzędzia programisty należy rozumieć: kompilatory, biblioteki procedur i funkcji oraz inne programy mogące wspomóc programistę).

W grach przygodowych powielany jest pewien schemat. Mianowicie — chodzi "ludzik" po różnych miejscach zbierajac lub zdobywając ukryte przedmioty, wykonując pewne czynności potrzebne do osiągnięcia głównego celu gry. W grze "Smok Wawelski" celem gry było zabicie smoka, ale wcześniej trzeba było przepłynąć Wisłę, a do tego potrzebna była tratwa, którą... itd.

Na samym początku musimy ustalić kto i co bierze udział w naszej grze oraz gdzie się ona rozgrywa. Ustalmy, że tego, który korzysta z naszej gry nazywamy graczem, natomiast wszystkie pozostałe nazwy dotyczą obiektów z programu. Jeśli chodzi o osoby uczestniczące w grze (nazwijmy je aktorami), należy podzielić je na dwie kategorie: pierwsza to osoby kierowane przez gracza, a drugie to te, które są kierowane przez sam program. To oczywiście narzuca pewne warunki dla programisty: o ile aktorzy grający są tylko sterowani z zewnątrz, to dla aktorów nie grających trzeba napisać algorytmy ich zachowania w różnych sytuacjach. Aktor grający wykonuje każde działanie dopiero po wydaniu rozkazu przez gracza. Czyli jeśli dla aktora grającego zostanie wydany rozkaz "patrz w lewo", to Twój program ma odpowiednio zareagować tzn. wypisać komunikat np. o tym, co widać po lewej stronie. Natomiast aktor nie grający działa niezależnie od poleceń gracza. Musisz dla niego napisać całą procedurę (odpowiednią do algorytmu, który wcześniej ułożyłeś) powodującą pewne działanie tego aktora bez żadnej interwencji gracza.

Teraz przyjrzyjmy się udziałowi przedmiotów w grze. Należy rozróżnić dwie klasy rzeczy: mogące być przenoszone oraz nie mogące być przenoszone. Pierwsze z nich aktor może wziąć i nosić ze sobą, a w razie potrzeby użyć je. Drugie to takie, których żaden aktor (grający i nie grający) nie może przenieść. Przedmioty dające się przenieść należy umieć zabrać ze sobą, a więc już w trakcie pisania programu musisz przyporządkować temu przedmiotowi atrybut: sposób brania. Druga charakterystyczna cecha przedmiotu to sposób jego użycia. Wiadomo, że młotkiem nie można obrać jabłka, a nożem wbić gwoździa.

Następna ważna sprawa to miejsce, w którym rozgrywa się akcja. Najczęściej teren, po którym porusza się aktor, podzielony jest na sektory, z których każdy jest wydzielony i niezależny od sąsiednich. W sektorze ukryte są pewne przedmioty, znajdują się pewni aktorzy i tu rozgrywa się określona akcja. Jako programista musisz zadbać o to, aby z każdym sektorem można było związać opis tego sektora, który ukaże się na ekranie w momencie, kiedy aktor grający pojawi się w nim. Konieczny jest także opis przedmiotów znajdujących się w tym sektorze, jak również opis aktorów tam występujących, a przynajmniej informacja o tym, jacy aktorzy są w nim aktualnie.

Na koniec musisz zadbać o jeszcze jeden typ obiektów, bardzo ważny w grach przygodowych: przejścia pomiędzy sektorami. Takie przejście nazwiemy bramą. Jeśli chcesz przejść z sektora do sektora zawsze musisz dokonać tego poprzez bramę. Każdemu takiemu obiektowi musisz przypisać kilka cech. I tak: numery sektorów, pomiędzy którymi jest ta brama (a właściwie do jakiego sektora ona prowadzi), sposób przejścia przez nią tzn. czy jest zamknięta, czy potrzeba jakiegoś klucza itp.

Każdy z tych obiektów (aktorzy, przedmioty, sektory i bramy) należy opisać za pomocą złożonych struktur danych dostępnych w języku, w którym piszesz program. Jeśli byłby to BASIC, to masz do dyspozycji tablice, LOGO — listy, Pascal — rekordy, tablice. Oczywiście im bogatszy jest język, tym łatwiej utworzyć struktury opisujące obiekty z Twojej gry.

Zanim zaczniesz pisać swój program musisz wybrać taki język, abyś łatwo mógł operować obiektami występującymi w grze.

„Ja wybierając mój los, wybrałem szaleństwo"...

W tych dniach mówiono i pisano o Nim tylko Dużymi Literami. Czytano fragmenty Jego dzieł, eksponowano galerię postaci z jego słynnej Firmy Portretowej, przypominano Jego proroctwa, przestrogi i metafizyczne lęki. Nazywano go Wielkim Mistrzem, Tragicznym Prorokiem, Przenikliwym Wizjonerem, Filozofem Raju Utraconego. A wszystkie te wyszukane określenia dotyczyły znanej w latach dwudziestych i trzydziestych postaci Zakopanego, nazywanej wówczas krótko i dosadnie „wariatem z Krupówek".

To prawda — Stanisław Ignacy Witkiewicz, dramatopisarz, malarz, filozof, był atrakcją i osobliwością przedwojennego Zakopanego. Jego wygląd, jego zachowanie, jego sztuka, nieustannie prowokowały mieszczuchów i prowincjuszy. Uwielbiał zresztą prowokować i szokować, wdawać się w towarzyskie i kawiarniane afery. Po Krupówkach paradował w wielkim granatowym berecie i obszernym swetrze w jadowicie fioletowe i pomarańczowe pasy. „*Ja wybierając mój los, wybrałem szaleństwo*".

Otaczała go legenda kokainisty i erotomana, alkoholika i błazna, zdziwaczałego ekscentryka i genialnego grafomana. Żył szybko i gwałtownie. Między rokiem 1918 a 1926 Witkacy napisał ponad 30 dramatów oraz 3 książki o malarstwie i teatrze Czystej Formy. A oprócz tego dyskutował, malował, wygłaszał odczyty o sztuce i Tajemnicy Istnienia, odcinał się zażartym polemistom, którzy protestowali przeciwko wszystkiemu, co robił... Kochał ironię, choć głowę miał zaprzątniętą problemami twórczości i istnienia. W stworzonym przez siebie Teatrze Formistycznym, tym — jak go sam nazwał — „mózgu wariata na scenia", bawił się formą i słowem, potęgował zawartą w nim emocję, wymyślał absurdalne przekleństwa. Tępił schematyzm myślenia, był postrachem durniów i nieuków, ubolewał, że większa część życia upłynęła mu „*w cieniu uśmiechu kretyna*".

„*O, błogosławieni ubodzy duchem, bo waszym będzie może królestwo niebieskie — ale tu na ziemi, w Warszawie i innych naszych miastach wolałbym, aby was było mniej albo żebyście się jakoś skomplikowali, wzbogacili, spotęgowali: bo trudno z wami żyć nawet na odległość. (...) Czyż nic, prócz dowcipów, fałszerstw i wymyślań nie możecie z siebie wydobyć, czyż każda próba dyskusji musi się skończyć ordynarnym świństwem na tle zawiści i chęci ukatrupienia konkurenta: czyż naprawdę idee tracą wszelką wartość?*"

Ale Witkacy to postać także głęboko tragiczna — aż po kres życia narastał w nim głęboki pesymizm i katastroficzna wizja przyszłości. Jako porucznik pawłowskiego pułku białogwardzistów — uczestnik rosyjskiej rewolucji i żołnierz I wojny światowej, widział nieuchronny kryzys podstawowych wartości, zagrożenie Istnienia Poszczególnego, kres wielkich indywidualności. Prześladowała go wizja ogłupiałego społeczeństwa, gdzie wszystko oparte jest na pozorach, a nikt nie zdaje sobie sprawy z dramatu rzeczywistości. „*Nie wierzę już w to nowe życie, które stworzyć macie wy — oto moja tragedia jak na patelni*". Bał się nadchodzących czasów i nowej cywilizacji, przerażała go myśl o następnej rewolucji społecznej i „życiu po potopie", w którym zapanuje „mechanizacja, szarzyzna i zbaranienie", zaś sens istnienia jednostki zostanie sprowadzony do „bezmyślnego szczęścia sytych zwierząt". W liście do swojego przyjaciela — Bronisława Malinowskiego pisał: „*Dla mnie za późno już na wszystko. Tylko śmierci chcę. Uwolnijcie mnie od życia, a łaskę mi zrobicie*".

W takim stanie ducha, pogrążony w katastroficznych wizjach, osaczony przez kłopoty osobiste, rozpoczął 54 rok życia, który według przepowiedni miał być „bardzo ciężki, a może nawet końcowy". Kiedy więc przyszedł wrzesień 1939 roku i stało się to, czego się tak bardzo obawiał, z tłumem uciekinierów, w towarzystwie bliskiej mu osoby, wsiadł do pociągu jadącego na wschód. „*Wojna to koniec naszemu pokoleniu, żadnych złudzeń*". Jego osobisty, samobójczy kres nastąpił rankiem 18 września 1939 roku w poleskiej wsi Jeziory, gdzie z przerażającą logiką wyreżyserował i konsekwentnie zrealizował finał swojego życia...

(tem)

POWRÓT

W Zakopanem, w dniu pogrzebu, mimo obrzydliwej pogody, od samego rana panował ruch jak na stołecznej Marszałkowskiej. Do miasta wciąż zjeżdżały nowe blade twarze, przybywało samochodów i wycieczek. Wszyscy: i ci, co wzięli jeden dzień urlopu, a potem tłukli się przez całą noc dalekobieżnymi ze Szczecina, Warszawy, Białegostoku, Bydgoszczy, i podróżni komunikacji autobusowej z Krakowa, Tarnowa, Kielc, i stali bywalcy zakopiańskich domów wczasowych, hoteli i schronisk, dorośli i młodzież — tłumnie ciągnęli do Teatru im. S.I. Witkiewicza na Chramcówki. Co prawda niektórzy zamiast skręcić za kościółkiem w prawo, spieszyli na drugą stronę ulicy — ale nie bądźmy zbyt drobiazgowi! Do pobliskiego sklepu rzucili bowiem wielkie plastikowe żółte i białe kosze, a towar to — sądząc po ilości zainteresowanych — bardzo tutaj poszukiwany. Ot, samo życie! Po jednej stronie Chramówek prozaiczna codzienność i szczęście w oczach z powodu handlowego sukcesu, po drugiej — przygotowania do ostatniej zakopiańskiej wędrówki słynnego dramaturga, filozofa, malarza...

Wolą jego matki — Marii Witkiewiczowej, zmarłej w 1931 roku i pochowanej na tutejszym cmentarzu — było, aby jedyny, ukochany syn spoczął obok niej. I właśnie dzisiaj, po 49 latach od jego tragicznej, samobójczej śmierci — wola ta miała zostać spełniona.

Dlaczego właśnie teraz, a nie — dajmy na to — w 1985 roku, w stulecie urodzin Witkiewicza? Dlaczego dziś — 14 kwietnia 1988 roku, a nie na przykład w lutym? (miesiącu urodzin) lub we wrześniu? (w rocznicę śmierci). Niejasności, pytania, wątpliwości ożyły na nowo — zwolennicy i przeciwnicy powrotu trumny do Zakopanego mnożyli swoje argumenty. Na nowo — ponieważ starania o przeniesienie prochów Witkacego z poleskiej wsi Jeziory do Polski mają swoją już przeszło czterdziestoletnią historię. Tak się bowiem jakoś do tej pory składało, że albo brakowało zrozumienia i poparcia próśb rodziny u ministerialnych urzędników, albo okoliczności były niesprzyjające, albo pora nie ta. Na szczęście Narodowej Radzie Kultury udało się przezwyciężyć wszystkie te przeszkody i w rezultacie, na dwa dni przed pogrzebową uroczystością, do ukraińskiej wsi Wielkie Jeziora pojechała kilkuosobowa delegacja, reprezentująca m.in. Ministerstwo Kultury i Sztuki, Narodową Radę Kultury, Związek Literatów i rodzinę Witkacego. Po ekshumacji zwłok i żałobnym wiecu jaki odbył się na terenie tamtejszej szkoły średniej, trumna ze szczątkami Stanisława Ignacego Witkiewicza, transportem drogowym, późnym wieczorem dotarła do Zakopanego. Następnego dnia rano wniesiono ją do Teatru i wystawiono na widok publiczny. Nie przypuszczam, aby ktokolwiek w takiej sytuacji prowadził skrupulatne obliczenia, ale sądzę, że przed tą jasną, ze srebrnymi okuciami trumną przeszło czwartkowego ranka kilka tysięcy osób. O godzinie trzeciej po południu wyniesiono ją na przybrany zieloną cetyną stary wóz na drewnianych kołach, zwany tu fasiągiem. Dwójką czarnych koni powoził 79-letni zakopiański dorożkarz — Władysław Gąsienica Sobczak Jochym, ten sam, który woził pana Witkiewicza po dawnym Zakopanem.

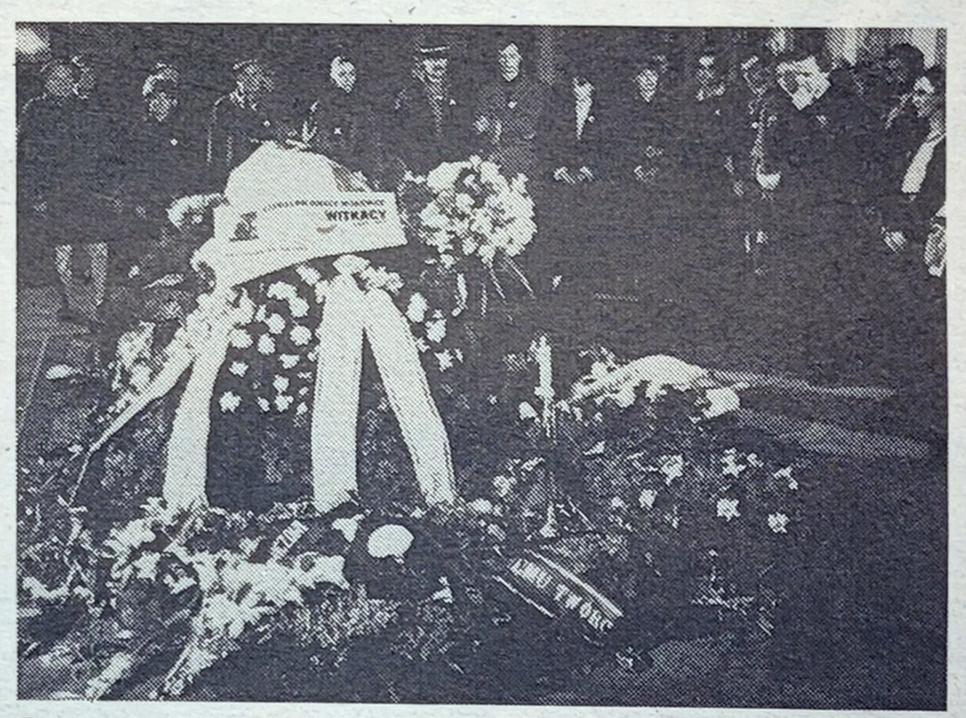

Przed trumną z prochami S. I. Witkiewicza, wystawioną na widok publiczny w teatrze jego imienia, przeszło tego dnia kilka tysięcy osób

Po raz ostatni tłumy ludzi żegnały artystę, który był legendą Zakopanego...

I wtedy Witkacy zakpił sobie z nas wszystkich po raz ostatni. Kiedy bowiem pogrzebowy kondukt, poprzedzony goprowcami, góralską kapelą i szkolną młodzieżą niosącą wieńce, ruszył wreszcie ulicami miasta — zaczął sypać gęsty, mokry śnieg, zrobiło się mroczno, wietrznie i piekielnie zimno. Kolorowy tłum wtulił szyje w ramiona, a fotoreporterzy, zaskoczeni nagłą zmianą pogody — jęknęli boleśnie. A potem — nie bacząc na powagę chwili, puścili się pędem, by zająć jak najlepsze miejsce na Pęksowym Brzyzku, czyli zakopiańskim Cmentarzu Zasłużonych. W takiej to demonicznej atmosferze zwarty tłum podążał za trumną Chramcówkami, Kościuszki, Krupówkami, Kościeliską...

Kto kiedykolwiek był na tym cmentarzu, ten wie, że jest on niewielki i żadną miarą choćby cząstki uczestników tak wielkiej pogrzebowej uroczystości pomieścić nie może. Do kościółka na żałobną mszę i na cmentarz weszli więc tylko nieliczni, ze specjalnymi znaczkami w klapie. Zaś reszta tłumu, przez godzinę stojąc na ulicy i pod murem w rozdeptanym błocie, dziarsko przytupywała na rozgrzewkę, prowadziła towarzyskie rozmowy (każdy tu przecież spotkał kogoś znajomego) i robiła pamiątkowe zdjęcia z ubranym w przepisowy ludowy strój prawdziwym góralem. Atmosfera pod cmentarnym murem daleka była więc od patosu i urzędowej sztywności, jakie towarzyszyły pogrzebowym mowom nad grobem.

Jak to dobrze, że Witkacy ich nie słyszał i nie wybuchnął swoim „hiperparadoksalnym, ironicznie szalonym śmiechem"...

TERESA MACISZEWSKA
Fot. **L. Dzikowski**

Ceremonii sprowadzenia prochów Witkiewicza do Polski towarzyszyły spotkania z jego sztuką. W Galerii Hasiora pokazano malowane przez niego portrety (ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego), w foyer teatru jego imienia — pastele i rysunki (ze zbiorów prywatnych). Sam teatr zaś w trakcie kilkudniowych prezentacji przygotował całkiem pokaźną „witkacologiczną" dawkę, na którą złożyły się m.in. fragmenty jego prozy czytane przez Teresę Budzisz-Krzyżanowską i Marka Walczewskiego, filmy Grzegorza Dubowskiego, spektakl warszawskiego Teatru Polskiego „Staś" i jazzowy koncert Zbigniewa Namysłowskiego. Uruchomiono również — wzorem słynnej witkacowskiej Firmy Portretowej — firmę malarską Hanny Bakuły i Elżbiety Wernio.

dawno... niedawno...

REWOLUCJA A GWIAZDY

Tuż przed śmiercią **Mikołaja Kopernika** przywieziono mu pierwsze egzemplarze druku jego dzieła: „*De revolutionibus orbium coelestium*", czyli „O obrotach ciał niebieskich", wydanego w Norymberdze. Zanim umarł, **24 maja 1543 roku,** wiedział już, że jego teoria mówiąca o tym, że Ziemia obraca się naokoło Słońca stanie się niebawem własnością publiczną i zacznie żyć własnym życiem.

Jak dotychczas — nie zależało mu specjalnie na publikacji dzieła życia. Już około 1510 roku podał wprawdzie zarys teorii heliocentrycznej w pracy zatytułowanej „*Commentariolus*", lecz jej nie wydrukował; krążyła jedynie w odpisach. Główne dzieło (późniejsze „De revolutionibus...") powstało w latach 1515–30 i Kopernik długo nie decydował się na ogłoszenie go drukiem. Dopiero w 1539 roku, gdy odwiedził go we Fromborku jeden z najświatlejszych uczonych owej epoki — von Lauchen z Wirtembergii, zwany **Retykiem,** kanonik powierzył mu swe dzieło wraz z przyzwoleniem na jego opublikowanie. Dlaczego Kopernik, który miał pełną świadomość sensu i znaczenia swego odkrycia, nie spieszył się, by poinformować o tym świat? To jest jedna z zagadek, na którą historycy próżno szukają jasnej i nie budzącej wątpliwości odpowiedzi.

Teoria Kopernika godziła w ustalone dotychczas i, zdawałoby się, pewne poglądy na budowę wszechświata. Była rewolucyjna w tym sensie, że musiała przezwyciężyć pogląd szanowany i ustalony przez wieki, podzielany przez prawie wszystkich uczonych. Jego teoria kłóciła się też z poglądem Kościoła, którego Kopernik był nie tylko wiernym synem, ale także funkcjonariuszem.

Chociaż rzecz dotyczyła struktury Układu Słonecznego, to przecież jej konsekwencje obejmowały całość myślenia człowieka o sobie i o otaczającym go świecie. Był to zatem przełom światopoglądowy, który w istocie, jak pokazały dzieje, doprowadził do przewartościowania wszystkich gałęzi nauki oraz położył podwaliny pod rozwój nowożytnej cywilizacji.

Sam Kościół początkowo nie wypowiadał się na temat dzieła polskiego astronoma, owszem, dość życzliwie, aczkolwiek nieoficjalnie ta „hipoteza" komentowana była w sferach kościelnych liberałów. Tylko Luter, Kalwin i inni protestanci ostro ją potępili. Dopiero czas uświadomił hierarchii katolickiej ogrom niebezpieczeństwa „ideologicznego" zawartego w dziele o gwiazdach. Toteż w 1616 roku Kongregacja Indeksu wydała dekret potępiający „De revolutionibus". Dziełem zakazanym przestało być dopiero w 1828 roku. Ale to wszystko nastąpiło już po śmierci astronoma.

Wróćmy do naszego pytania: dlaczego Kopernik, skoro był pewien swego, skoro wiedział, że się nie pomylił w obliczeniach... tak długo milczał? Być może dlatego, że zdawał sobie sprawę z rozległości wstrząsu, jaki spowoduje i nie chciał go wywoływać. Być może, iż uznawał, że jest jeszcze za wcześnie na podanie prawdy o świecie (podobno A. Einstein wiele notatek ze swych odkryć zniszczył przed opublikowaniem uznając, że ludzkość jeszcze do nich nie dojrzała). A może po prostu dlatego, że interesowała go tylko prawda naukowa i w chwili, gdy do niej dotarł, cel został spełniony. Jak powiadam, hipotez jest wiele, a można by je jeszcze mnożyć. Zostańmy jednak przy faktach: to właśnie Mikołaj Kopernik był tym, który położył fundamenty pod rozwój i postęp cywilizacyjny i humanistyczny Europy i świata, a jego dzieło, upowszechnione, a następnie oficjalnie zakazane, stało się własnością ludzkości i zaczynem wielkiego fermentu umysłowego.

W tym więc sensie kanonik z Fromborka należy do rewolucjonistów naszego świata.

SZPERACZ

PATRZ str. 6

Idziemy przez wieś. Kilkanaście metrów z przodu patrol: dwóch milicjantów, strażak, jakaś pani. W ramach ogólnopolskiej akcji sprawdzają porządek we wsi.

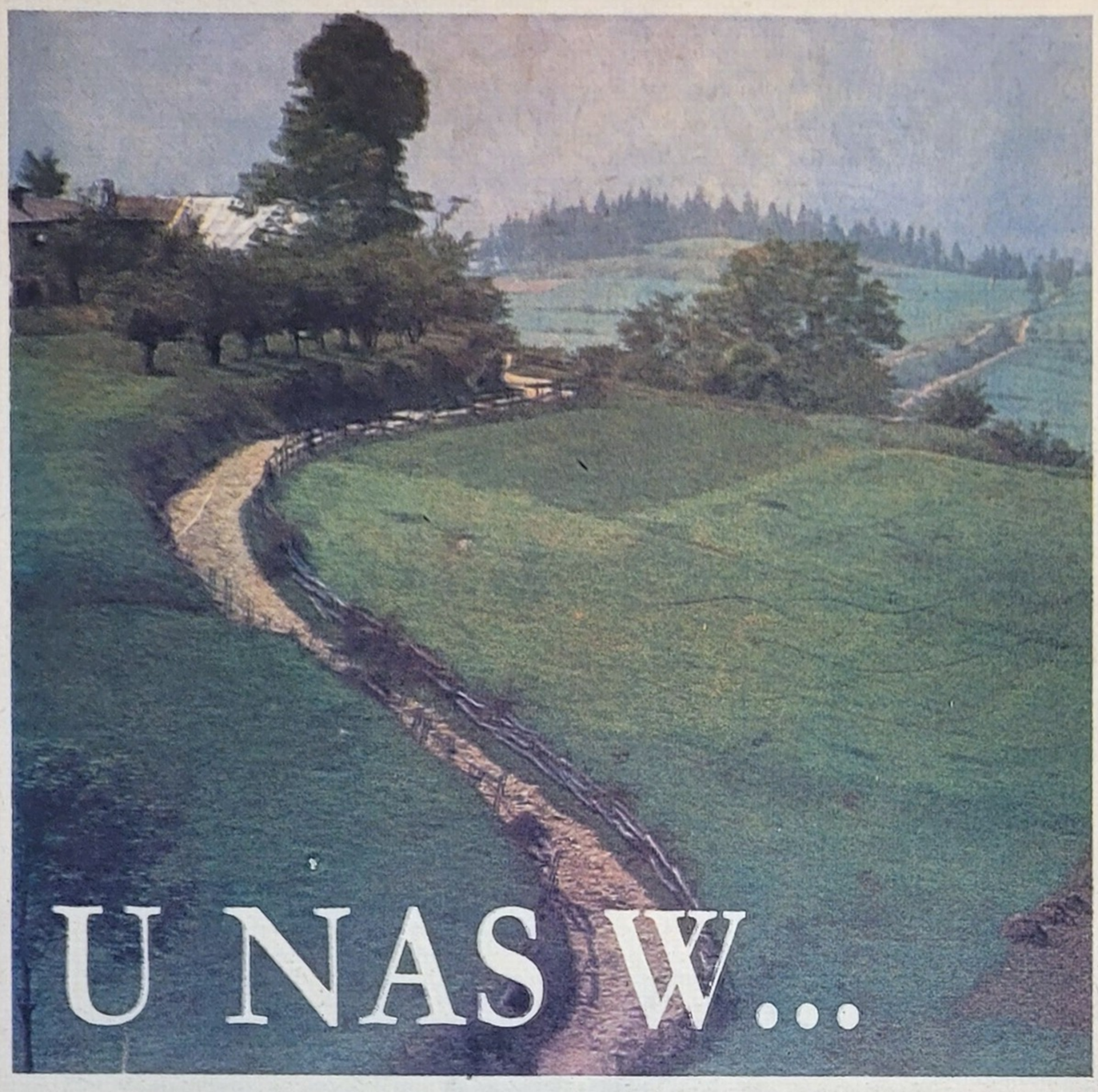

U NAS W...

— U nas przy szkole jest teraz plac budowy; stawiają jakąś przybudówkę. Do niedawna był tam jeden wielki bałagan, robotnicy pokazywali się i znikali. A teraz...? Jak się nasz dyrektor dowiedział, że będzie kontrola, to wszystkich pogonił: ich i nas. Robota aż furczy! My na przykład zamiast lekcji polskiego mieliśmy pracę społeczną: układanie góry z piachu rozrzuconego po całym podwórku. Nawet ją deskami wyrównywaliśmy, żeby miała równe ściany i szczyt. Znalazł się nawet drut do ogrodzenia i tabliczki zakazujące wstępu.

Do tej pory jakoś nikomu nie przeszkadzało, że na przerwach chłopaki biją się deskami, rzucają wapnem i kamieniami, a maluchy i dziewczyny grzebią w piasku. Ale jak kontrola, to...

KILKA HEKTARÓW, TRAKTOR I MY

Urodziłem się w mieście, kilka kilometrów stąd, ale cały czas mieszkam w tej wsi. Rodzice mają kilka hektarów pola, traktor i nas do pomocy: mnie, brata i siostrę. Roboty dużo, ale nie na tyle, żeby nie starczyło czasu na inne sprawy.

Jestem przybocznym w drużynie harcerskiej, chodzę jeszcze na zajęcia do Gminnego Ośrodka Kultury, czasem jeździmy z kolegami do miasta, do kina, czasem znów kino przyjedzie do nas. Można żyć.

Warunki w domu też mamy całkiem dobre: wodociąg, gaz, kanalizacja. Ze studni na podwórzu korzysta się wtedy, gdy ktoś chce się napić bardzo zimnej wody, a tak na co dzień to już raczej rzadko. Wygodniej jest odkręcić kran.

Tylko z telefonami u nas we wsi kłopot. Jest ich chyba z pięć, w tym jeden w szkole, jeden w domu kultury i wieczorem korzystać z nich nie można — wszystko pozamykane.

MAJSTERKLEPKA I DZIADKOWIE Z ORDERAMI

W życiu bym nie chciał mieszkać w mieście. Po co? Tylko po to, żeby nie nazywali mnie „wsiochem"? Niech nazywają — jak głupi. Tu wszystko mam, znam każdego, zawsze też jest coś do roboty. Dzieje się też wiele ciekawych rzeczy.

O, na przykład w tamtym domu, na górze mieszka taki jeden majsterklepka. Wszystko nareperuje, na wszystkim się zna, pomaga ludziom. Jest bardzo fajny. Tylko że niektórzy się z niego śmieją od czasu tej hecy z wiatrakiem. Tym, co go widać. Zrobił go, żeby łapać energię elektryczną z wiatru. Już tam sąsiedzi zachodzili do niego, żeby się podłączyć jak wszystko będzie działało.

Na początek zleciała się cała prawie wieś. Każdy chciał zobaczyć. No i rzeczywiście — wiatr zadmuchał, wiatrak się zakręcił i światło błysnęło. Tylko że wszystko było chyba trochę źle skonstruowane, bo po jakimś czasie skrzydła się powyginały i nic nie wyszło z tego prądu. Trochę tam na majsterklepkę pomstowali, że głowę ludziom zawraca i czas zabiera, ale podobno przyjechali jacyś fachowcy z miasta i powiedzieli, że jak do skrzydeł wiatraka użyje innego materiału, to wszystko będzie dobrze działać. A w ogóle to warto robić coś takiego, bo to oszczędność. Więc robi dalej, tylko się wścieka, bo nie może dostać odpowiedniego materiału.

Niektórzy się z majsterklepki śmieją, ale ojciec nie da na niego złego słowa powiedzieć, odkąd mu pomógł w naprawie traktora.

Są też i inni ciekawi ludzie. Tacy na przykład, którzy przyjechali tu zaraz po wojnie i mieszkają do dziś. Niektórzy potrafią ciekawie opowiadać, przychodzą czasem do szkoły czy na zbiórkę. Niektórzy nawet spotkani ot, tak, na drodze zaczynają często swoje historie: „A, panie, za tamtych czasów to było..." A jak na Dzień Zwycięstwa założą mundury i wszystkie medale — to dopiero jest widok! Niektórym dzieciakom pozwolą nawet czapkę przymierzyć. A jakie mają wspaniałe rzeczy w domach: stare szable, bagnety, hełmy; można też z bliska zobaczyć medale, mundury, obejrzeć zdjęcia...

ZIMĄ FOLIA, LATEM WANNA

Mamy też i inne atrakcje. Na przykład w domu kultury są dwa komputery. Timexy się nazywają. Jest tu przeszkolony fachowiec i prowadzi z nami zajęcia. Można pobawić się grami komputerowymi, samemu pokombinować nowe programy. Od początku roku szkolnego, jak zaczęły się lekcje języka angielskiego (prowadzi je jedna pani z miasta), to komputery przydają się też do nauki.

Poza tym mamy jeszcze w domu kultury magnetofon, telewizor, kawiarnię. Jest spokój, można posiedzieć, porozmawiać, posłuchać muzyki, obejrzeć jakiś program, jeśli nie chce się wracać do domu.

A jak komu mało, to może jeszcze do lasu wyskoczyć albo zimą pojeździć na sankach czy folii. Ja tam wolę na folii bo trudniej. Najpierw trzeba stok wyślizgać, żeby był lód, a potem są zawody, kto dalej dojedzie.

Gorzej jest w lecie. Rzekę tu co prawda mamy, ale po kąpieli wyskakują jakieś krosty, więc mało kto wchodzi. Zresztą milicjanci gonią, straszą pasem i karami dla rodziców, a i od samych rodziców można za to oberwać. Tylko co robić, gdy jest upał? W okolicy nie ma żadnego basenu. Pozostaje tylko wanna.

Dobrze przynajmniej, że choć roboty w żniwa jest dużo, to mogę wyjeżdżać w czasie wakacji. Jeżdżę na obozy harcerskie, czasem na kolonie. Można zawsze wtedy zobaczyć kawałek świata.

ŻEBY SIĘ NIE MĄDRZYĆ

Ze szkołą to jest różnie. Trochę dobrze, trochę kiepsko. Pewnie jak wszędzie. Jedni nauczyciele tylko czekają, żeby zgnębić ucznia, inni spokojnie wkładają nam wiedzę do głów. Martwi nas jednak kilka rzeczy. Na przykład to, że na skutek rozbudowy szkoły zlikwidowano jedyne w naszej wsi boisko. Podobno nie można było inaczej. Nie mamy też sali gimnastycznej. Zajęcia z wuefu odbywają się teraz albo na placu przed szkołą, gdzie pełno piachu i kurzu, albo na łące. Albo nie odbywają się wcale i wtedy mamy dodatkowy polski czy matematykę.

Nie da się tego zmienić. Nikt nas nie słucha, nikt nawet nie chce wytłumaczyć, dlaczego tak jest. Pan dyrektor stwierdził tylko, że powinniśmy zrozumieć, że w szkole jest za ciasno i trzeba ją rozbudować, że to przecież dla nas. Ale gdzie teraz będziemy grać w piłkę, po co nam na szóstej lekcji, po męczącym dniu, jeszcze jedna matematyka? Podobno nie nadążamy z programem. To ja się pytam, co to za program, skoro ani pani od matematyki ani od polskiego nie chorowały, a teraz jest tyle do nadrobienia?

Ale tego nam nikt nie wytłumaczy. Najwyżej możemy się dowiedzieć, że jesteśmy za smarkaci, żeby się mądrzyć. Po takim stwierdzeniu nauczyciel z reguły kończy odpowiadać, a zaczyna pytać. Na stopień.

O swojej rodzinnej miejscowości opowiadał Piotrek z klasy ósmej. Notował JAROSŁAW MACHOWIAK

W kręgu polskiej nauki

MOWA O... TRAWIE

z doc. SŁAWOMIREM PROŃCZUKIEM z Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin w Radzikowie rozmawia Maria Rojek

Trawy wystawione w Instytucie Hodowli i Aklimatyzacji Roślin w Radzikowie k. Błonia zdumiewają odwiedzających placówkę. Nigdy jeszcze dotąd nie widziałam źdźbła... przewyższającego wzrostem człowieka!

— Gdzie rosną takie trawy? — pytam wicedyrektora IHAR-u, autora nowych odmian traw doc. Sławomira Prończuka.

— Roślin dwumetrowej wysokości nie spotyka się poza plantacjami nasiennymi, na których dochodzą do pełni swojego rozwoju. Warto jednak zdać sobie sprawę, że jeśli trawy nie przykaszamy, a znajdzie się ona w żyznym środowisku, to przy starannej uprawie da ona 10 t zielonej masy z ha. Z ilości tej otrzymuje się 2 t siana. Trawa może więc konkurować z najplenniejszymi roślinami pastewnymi, nawet z kukurydzą.

— Nie na każdej łące można jednak uzyskać rekordowe plony...

— Niestety, bardzo wysokie plony są wynikiem obfitego nawożenia mineralnego. Z rośliną dzieje się podobnie, jak ze sportowcem. Z pomocą środków dopingujących zawodnik może uzyskać szybko doskonałe wyniki. Ale później zapłaci za to swoim zdrowiem. Roślina sztucznie stymulowana nawozami da wysoki plon, ale złej jakości. Może stać się nawet trucizną dla zwierząt.

— Czy to znaczy, że roślina nie potrafi się obronić przed nadmiernymi dawkami nawozu?

— Oczywiście, że nie — trawa pobiera z gleby azot, ale nie jest go w stanie zagospodarować. W jej tkankach odkładają się szkodliwe dla zwierząt uboczne produkty przemiany materii. Podobnie bywa i z potasem.

— Więc środkiem zaradczym przeciw zatruwaniu ludzi i bydła byłby może powrót do upraw naturalnych? Tak, jak to się dzieje w rolnictwie ekologicznym?

— Rolnictwo ekologiczne, powracające do układów pierwotnych rozwija się w krajach bogatych: RFN, Szwecji, Holandii. W państwach tych rolnictwo od dawna zaspokaja potrzeby społeczeństwa. Gdyby jednak wszystkie gospodarstwa przeszły tam na system ekologiczny, to i u nich wystąpiłby niedobór żywności. Niestety, w krajach o niezadowalającej produkcji żywności używa się w nadmiarze środków stymulujących wzrost roślin. I dlatego znaleźliśmy się na granicy zagrożenia toksycznego...

— Czy istnieje wyjście z tej sytuacji?

— Umiar we wpływaniu na wzrost roślin — to jedna droga. Drugą, bardzo ważną jest hodowla nowych odmian, dających „z natury" wysokie plony. Można wówczas ograniczyć nawożenie mineralne.

— Jak długo trwa uzyskanie nowej odmiany trawy?

— Od dziesięciu do piętnastu lat. Jest to przecież roślina wieloletnia. Hodowca musi sprawdzić, czy będzie długo plonowała. Trzeba wiedzieć, jak zachowa się w trudnych warunkach klimatycznych, jak zniesie zakwaszenie gleby. Doświadczenia polowe w różnych okolicach Polski nie wystarczą. Muszą je poprzedzić badania laboratoryjne. W Instytucie mamy do dyspozycji tzw. fitotrony. Są to kabiny przypominające gigantyczne lodówki z oświetleniem wewnątrz. Można w nich poddawać rośliny działaniu niskich temperatur, sprawdzić jak reaguje na zmiany wilgotności, nasłonecznienia itd...

— Od czego zaczyna Pan pracę nad nową odmianą?

— Najpierw trzeba zgromadzić jak najbogatszy materiał wyjściowy. Kolekcja traw IHAR-u liczy 10 tys. rosnących traw i nasion. Ale i na tym nie można poprzestać. Hodowca patrzy wciąż pod nogi. Przecież na własnym podwórku, na zdeptanym trawniku można napotkać rewelacyjną roślinę. Nie zawsze jest ona bujna, okazała. Postronny obserwator nie zwróciłby pewnie na nią uwagi. Oko doświadczonego hodowcy dostrzega to, co zakryte. Rezultatem zdobycia wiedzy biologicznej i genetycznej bywa specjalne „czucie" roślin. Wyczuwanie potencjalnych możliwości zakodowanych w ich genach (jednostkach dziedziczności).

— Które cechy genetyczne są najkorzystniejsze?

— Wszystko zależy od przeznaczenia rośliny. Są trawy na łąki, pastwiska, pobocza, skarpy, trawniki. Każdy z tych rodzajów ma odmienne właściwości. Jeśli trawa daje wysoki i szybki przyrost — można ją uznać za materiał wyjściowy do hodowli odmian łąkowych. Gdy roślina bujnie się krzewi — można domniemywać, że da początek odmianie pastwiskowej. Jeżeli przyrasta wolno — ale przez cały rok zachowuje zielone liście — będzie się nadawała na trawniki. Testem dla trawy łąkowej jest trzykrotne wykoszenie. Pastwiskową trzeba wykosić pięć razy. Jednak nawet bardzo dobra trawa pastwiskowa nie zawsze sprawdzi się np. na boisku. Ale najtrudniej wyhodować trawę na stadiony. Dopiero po trzydziestokrotnym wykoszeniu można się spodziewać, że rośliny przetrzymają treningi i mecze piłkarskie.

— Czasem nowa odmiana hodowlana ukrywa się pośród dzikich roślin i wystarczy tylko ujawnić jej rewelacyjne właściwości. Innym razem musi się Pan posłużyć krzyżowaniem roślin. Czy łatwo dobrać „rodziców" nowej odmiany traw?

— Uszlachetnianie istniejących odmian przez przenoszenie korzystnych cech z jednego genotypu — czyli zespołu genów — na drugi wymaga ogromnej wiedzy. Najpierw zresztą trzeba sobie zdać sprawę z tego, czy na tym etapie rozwoju nauki takie przesunięcie genów jest technicznie możliwe.

Krzyżowanie traw bywa więc kłopotliwe. Często dokonujemy go w szklarniach, by izolować rośliny od obcego pyłku. W szklarni można wyhodować trzy pokolenia w ciągu roku, co znacznie przyspiesza uzyskanie nowej odmiany. Podczas doświadczeń polowych stosujemy izolatory: przezroczyste torebki nakładane na kwiatostany. Ale kiedy zaczynamy izolować trawy... nie chcą one wydawać nasion! Rośliny mają swoje tajemnice i kaprysy.

— Nadchodzi wreszcie dzień, gdy nowa krzyżówka może wejść do uprawy...

— Tak, ale dopiero po co najmniej trzyletniej hodowli w stacjach położonych w różnych regionach kraju. Jeśli w tym cyklu potwierdzą się jej zalety, zostanie wypisana do rejestru odmian.

— Skoro pańskie trawy trafiły do rejestru, to dlaczego nie widuje się ich na łąkach?

— To wina Centrali Nasiennej, która powiela wciąż stare odmiany. Cóż, wprowadzenie każdej nowości wiąże się z ryzykiem. Właściciele plantacji nasiennych chcą mieć pewny zysk. Pozostaje żywić nadzieję, że nowa ustawa o nasiennictwie zmieni istniejącą sytuację. Koszty związane z wyhodowaniem nowej odmiany zwrócą się wówczas z nawiązką. Wzrost plonu choćby o 1% pomnożony przez setki tysięcy hektarów przynosi korzyści nie do pogardzenia...

Fot. J. Dąbrowski

VI Harcerskie Spotkania Kulturalne w Sieradzu

WESOŁO JAK NA IMIENINACH U KERMITA

Oklaski należą się „Sędziejowiczanom" z Sędziejowic

Za chwilę wejdą na scenę...

Nie pierwszy raz reporterzy „Świata Młodych" gościli w Sieradzu na Harcerskich Spotkaniach Kulturalnych Młodzieży Szkolnej. Ktoś mógłby więc zapytać — dlaczego? Przecież jest wiele bardziej okazałych imprez, ta ma tylko lokalne, a właściwie środowiskowe znaczenie. Zjeżdżają się tu rokrocznie wyłącznie zespoły z województwa, ocenione wprawdzie jako najlepsze w rejonowych przeglądach, ale — nie ukrywajmy — reprezentujące różny poziom. Trudno nawet powiedzieć, że ich występy są wyjątkową atrakcją dla mieszkańców Sieradza. Po prostu sala Teatru Miejskiego, w której odbywa się ta impreza, może pomieścić niewielu więcej gości... niż sami członkowie zespołów biorących udział w konkursie.

Odpowiemy — lubimy smaczne „przekładańce" (bo tak właśnie kiedyś ochrzciliśmy w redakcji te bardzo rozmaite w treści spotkania), gdyż natrafiamy w nich czasem na „smakowite warstwy" — i potem możemy dochodzić ich receptury.

Nasz sondaż wykazał, że w Sieradzkiem działalność artystyczna wśród młodzieży kwitnie. Najlepszy dowód, że do finałowych spotkań zakwalifikowały się aż 42 różne zespoły: teatralne, instrumentalne, wokalne, taneczne, a także kabaretowe. Aż 12 z nich wyjechało z Sieradza z nagrodami — pięknymi pucharami, prezentami i z zaproszeniami na letnie obozy w NRD i ZSRR. Odnieśliśmy wrażenie — bo trudno mówić o pewności, gdy można podziwiać każdy zespół w akcji zaledwie przez kilkanaście minut — że najwyższy poziom reprezentują instrumentaliści: „Choreja" z Działoszyna, orkiestra dęta z Kwiatkowic, kapela z Drwalewa i zespół wokalno-instrumentalny z Raciszyna.

Podobał nam się również wokalny zespół z Mierzyc, który przedstawił ludową piosenkę ze swoich okolic we własnej oryginalnej aranżacji z piszczałkami.

Spośród tańczących, najgoręcej oklaskiwaliśmy zespoły ludowe „Kalinkę" z Kalinowa i „Sędziejowiczan" z Sędziejowic, a także nowoczesny i barwny „Taniec czarownic" w wykonaniu zespołu z Rusca.

Gorzej było z teatrzykami i to nie dlatego, by amatorom tej formy artystycznego wyrazu brakowało zapału i przejęcia. Wygląda raczej na to, że teatry nadal cierpią na brak interesującego repertuaru.

Ale to właśnie wśród teatrów natrafiliśmy na ten symboliczny smakołyk z przekładańca, który okazał się rodzynkiem. To szkolny teatrzyk ze Zduńskiej Woli — „Baśniowy krąg". Prowadzi go pani Ludmiła Chmielewska, która nie jest ani muzykiem z wykształcenia, ani choreografem, ani scenografem, ani instruktorem kulturalnym. Po prostu uczy dzieci w szkole, lubi je i umie się z nimi bawić. Efekt — widać na scenie. Teatrzyk „Baśniowy krąg" pokazał uroczą pantomimę własnego pomysłu pt. „Imieniny u Kermita". Była to inscenizacja, która spodobała się wszystkim — nie tylko dlatego, że jej bohaterem był, tak dziś popularny dzięki telewizji, konferansjer Muppetów i że kostiumy były ładne. Muzycznie, choreograficznie, dramaturgicznie i aktorsko występ był bardzo dopracowany, pełen inteligentnych niespodzianek. „Baśniowy krąg" z wielką naturalnością stosuje metodę, dzięki której słynny reżyser Spielberg podbił widzów na całym świecie — zręcznie i twórczo czerpie z dobrych, starych wzorów. Nagle w wykonaniu muppetowych stworków zobaczyliśmy np. zgrabnie wmontowany w akcję gag rodem z niemych filmów Maxa Lindera: przed lustrem bez... lustra pręży się bohater, a w pustych ramach

Grześ jako „żabi" Elvis Presley

kopiuje jego ruchy prześmiewca — niektóre gesty są spóźnione, inne przeinaczone, ale próżna Żaba choć podejrzewa, że coś jest nie w porządku, woli tego nie zauważyć. A oto inny żart — czytelny dla całej widowni, poza... jego wykonawcą (bo zbyt młody). Sześcioletni Grześ Lesko w skórze Kermiciątka wkroczył na scenę, parodiując słynnego gwiazdora rocka — Elvisa Presleya.

Nie miałam, niestety, okazji oglądać ich poprzedniej, (sprzed dwóch lat), ponoć bardzo pomysłowej i ładnej, inscenizacji „Kopciuszka". Ale jeśli „Baśniowy krąg" nadal będzie wykazywał tyle inwencji, z pewnością długo zachowa dobre imię, doczeka się niejednej pochlebnej recenzji i w końcu także teatralnej konkurencji na własnym, sieradzkim podwórku.

(eb)

Fot. **M. Włodarski**

„Rewia roślin" teatrzyku z Błaszek to satyra na szkolne typy i typuńcie

W zespole wokalnym „Le Bomba" śpiewają same ładne dziewczyny

"How do you do"

ANGIELSKI NA WSI I NA KOLONIACH

Kiedy na początku roku szkolnego wydrukowaliśmy artykuł o nauce języków obcych pt. "How do you do", napłynęło do redakcji wiele listów w tej sprawie. Czytelnicy zaproponowali nawet... prowadzenie kursu języka angielskiego na łamach naszej gazety. Ten pomysł nie został zrealizowany, gdyż „Świat Młodych" zamieniłby się wówczas w podręcznik do angielskiego, tyle że w odcinkach.

Napisali do nas również czytelnicy ze wsi i z małych miasteczek, którym trudno uczyć się języków obcych. Oto fragment listu:

„Od kilku lat staram się bezskutecznie nauczyć języka angielskiego. Mieszkam w miejscowości, w której nauka tego języka nie jest prowadzona, z powodu braku wykładowców. Zaczęłam więc od nauki w domu, później uczyłam się przez rok na kursie, na który jednak musiałam daleko dojeżdżać. Obecnie nie ma możliwości uczęszczania na żadne zajęcia, dlatego też zwracam się do Was z ogromną prośbą o pomoc, zwłaszcza że języka samemu jest bardzo trudno się uczyć." — Ostatnie zdanie listu należałoby podkreślić i dodać: zwłaszcza na wsi i zwłaszcza angielskiego.

DLACZEGO NA WSI TRUDNIEJ?

Przeciętny młody mieszkaniec miasta, który często narzeka na brak wolnego czasu, nie zdaje sobie sprawy, że w porównaniu ze swoim rówieśnikiem mieszkającym na wsi, ma go... bardzo dużo. Zazwyczaj bowiem ma blisko do szkoły, nie musi także pomagać rodzicom w gospodarstwie. Mieszkanie na wsi ma dużo zalet, ale nie ulega wątpliwości, że — języków obcych trudniej jest się tam uczyć. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że młodzież ma więcej obowiązków, a przez to mniej wolnego czasu, ale również dlatego, że w małych miejscowościach nikt nie prowadzi kursów językowych. Pozostaje więc nauka samodzielna, z pomocą kaset magnetofonowych, a przede wszystkim podręczników. Sytuacja byłaby prawie dobra, gdyby do tego udało się znaleźć w najbliższym mieście ośrodek prowadzący naukę w cyklu tzw. rzadkich spotkań (np. raz na dwa tygodnie, z zadawaniem pracy do domu). Wtedy rezultaty zależałyby od pracowitości i zdolności osoby uczącej się. W rzeczywistości bywa rozmaicie. Warto dowiedzieć się, w jakiej najbliższej miejscowości prowadzone są kursy. We wszystkich miastach wojewódzkich, a czasami również w mniejszych, funkcjonują ośrodki Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, w których można uzyskać informacje. Być może wiedzą coś na ten temat nauczyciele z waszych szkół. Zapytajcie!

CZY ANGIELSKIEGO MOŻNA SIĘ UCZYĆ SAMODZIELNIE?

W zasadzie wszystko jest możliwe, ale... Trudna jest nauka języka obcego od podstaw, szczególnie dotyczy to angielskiego. Nie zachęcam do uczenia się go wyłącznie na podstawie podręcznika. Wymowa osoby uczącej się w taki sposób byłaby dla rodowitego Anglika zupełnie niezrozumiała. Nawet krótki okres nauki z nauczycielem, który poprawiłby wymowę i wyjaśnił zasady gramatyki, daje dużo lepsze wyniki. Idealnym wyjściem dla osób z prowincji byłoby uczestnictwo we wczasach językowych organizowanych także dla dzieci i młodzieży.

KOLONIE JĘZYKOWE...

... bardzo przypominają zwykłe kolonie, na których prawie każdy chociaż raz w życiu był. Uczestnicy podzieleni są na grupy, w zależności od wieku i stopnia znajomości języka. Różnica polega na tym, że czas jest bardziej wypełniony, codziennie poświęca się około trzech godzin na naukę, co nie znaczy, że siedzi się trzy godziny w ławce. Nauka może odbywać się na spacerze, nad jeziorem poprzez zabawę, rozmowy i śpiew, tyle że po angielsku lub niemiecku. Daje to tzw. oswojenie z językiem i umiejętność posługiwania się nim w różnych sytuacjach. Kolonie językowe trwają od dwóch do trzech tygodni. Uczestnicy wracają po nich wypoczęci, gdyż poza nauką prowadzone są zwykłe zajęcia rekreacyjne. Wczasy takie prowadzi m.in. Krajowa Spółdzielnia Pracy „Oświata". Zainteresujcie się tym, zwłaszcza ci, którzy mieszkają z dala od ośrodków miejskich.

(ep)

ZAPROSZENIE

Krajowy Fundusz na Rzecz Dzieci zaprasza 28, 30 i 31 maja oraz 1 i 2 czerwca o godzinie 18.00 do Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki na koncerty: „GAWĘDA NA DESZCZ I POGODĘ".

Poza występem „Gawędy" przewidywane są liczne atrakcje m.in. loteria fantowa.

Bilety do nabycia w warszawskich kasach ZASP — Al. Jerozolimskie 25.

PATRZ str. 6

GWIAZDOZBIÓR

„SEKRETNY DZIENNIK ADRIANA MOLE'A"

Czas emisji, jak na serial — nietypowy: czwartek, godz. 19.00 II program — zwykle najmłodsi okupują wtedy szklane okienko, by na I kanale oglądać „Dobranoc".

Ale nastolatki, które nie mają młodszego rodzeństwa, oczywiście wyłowiły z programu film dla siebie — właśnie „Sekretny dziennik Adriana Mole'a lat 13 i 3/4" produkcji angielskiej. Nadeszły już pierwsze listy od zafascynowanych widzów.

Serial ten został nakręcony w 1984 r. na podstawie książki Sue Townsend. Ostre, pozbawione sentymentów i dydaktyzmu obserwacje kłopotów nastolatka Adriana z samym sobą i rodziną wywołały duże zainteresowanie tą książką zarówno ze strony angielskich nastolatków jak i dorosłych. Powieść stała się prawdziwym bestsellerem. Tak samo i film.

Szóstka głównych bohaterów reprezentuje trzy pokolenia. Najmłodsze to narrator — **Adrian Mole** i Pandora. Chłopca gra Gian Sammarco — bezbarwny, ulizany chłopak, w okularach. Adrian uważa siebie za intelektualistę, ale nie może zrozumieć dlaczego zdarzyli mu się rodzice, którzy nie są w stanie zauważyć jego uczuć i za nic mają jego polityczne poglądy. Ich awantury wprawiają go w zakłopotanie. Jedynie poezja, którą uprawia zapamiętale i towarzystwo szkolnej sympatii Pandory podnoszą jego samopoczucie.

Czy zresztą Pandora jest godna zaufania? Adrian nie jest tego całkowicie pewien...

Pandora: tę długowłosą, prostolinijną i zapalczywą dziewczynkę gra Lindsey Stagg. Ona sama nie jest pewna swych uczuć do Adriana. Jedyną prawdziwą miłością w jej życiu jest kucyk. Uważa się za osobę dorosłą i radykalną. Nie ma poglądów na seks — podejrzewa, że może okazać się mało romantyczny. Lubi być podziwiana i cieszy się, że jest muzą Adriana, choć ocenia jego wiersze jako raczej słabe.

Następne pokolenie to rodzice Adriana. **Matka: Paulina Mole** zastanawia się, czym zasłużyła sobie na „takiego" męża i syna. Lubi palić i wypić coś mocniejszego. Z trudnością zmusza się do zajmowania kłopotami męża i syna. Usiłuje nawet ich opuścić dla innego mężczyzny. W sumie jest egoistką z problemami i zachwianym poczuciem własnej wartości.

Ojciec: George Mole (Stephen Moora) jest optymistą, który wciąż ma nadzieję, że dostanie inną pracę (z poprzedniej go zwolniono) lub wydobędzie większe pieniądze od pomocy społecznej i że jego układy z żoną się poprawią. Czuje się winny i przestraszony, bo uwikłany jest w poważny romans. Jego przyjaciółka spodziewa się dziecka.

Trzecie pokolenie — to babcia Adriana i jego stary podopieczny i przyjaciel Bert.

Babcia, matka George'a (Beryl Reid) jest osobą bardzo nowoczesną. Nic jej nie szokuje i nie dziwi. Uważa, że Paulina jest dla jej syna fatalną żoną. Przebywa często w domu syna, gdzie stale trwają kłótnie. Mówi swoje. Wtrąca się do każdej sprawy. Ma jednak słabość do Adriana.

Bart Baster (Bill Fraser). Jest najlepszym przyjacielem Adriana. Uwielbia wspominać przy nim przeszłość i udzielać mu rad na tematy polityczne. Chciałby namówić Adriana do wstąpienia kiedyś do partii komunistycznej. Losy zaprowadzą go do Domu Opieki, gdzie pozna Quennie, z którą się ożeni. To go zmusi do wzięcia się w garść np. do dokładnego mycia — czego nigdy nie znosił.

Z powyższych charakterystyk możecie się zorientować, że o otoczeniu Adriana i nim samym można powiedzieć wszystko, prócz tego, że to postacie papierowe. Ich życie i problemy pokazane są bez osłonek z perspektywy krytycznego nastolatka.

Film ten zaskakuje nawet ostrością, otwartością, ba — drastycznością, która kryje się, niestety w codzienności wielu rodzin, nie tylko angielskich... „Straszni mieszczanie, w strasznych mieszkaniach" — jak pisał poeta... Gorąco polecamy Wam ten serial i zawiadamiamy, że powstała już jego druga część, która opowiada o rosnących cierpieniach dorastającego Adriana — zbłąkanego intelektualisty. Z niej właśnie pochodzi duże zdjęcie bohatera.

(eb)

Grandma Mole
Beryl Reid

Pandora
Lindsey Stagg

Bert Baxter
Bill Fraser

Adrian Mole
Gian Sammarco

Pauline Mole
Lulu

George Mole
Stephen Moore

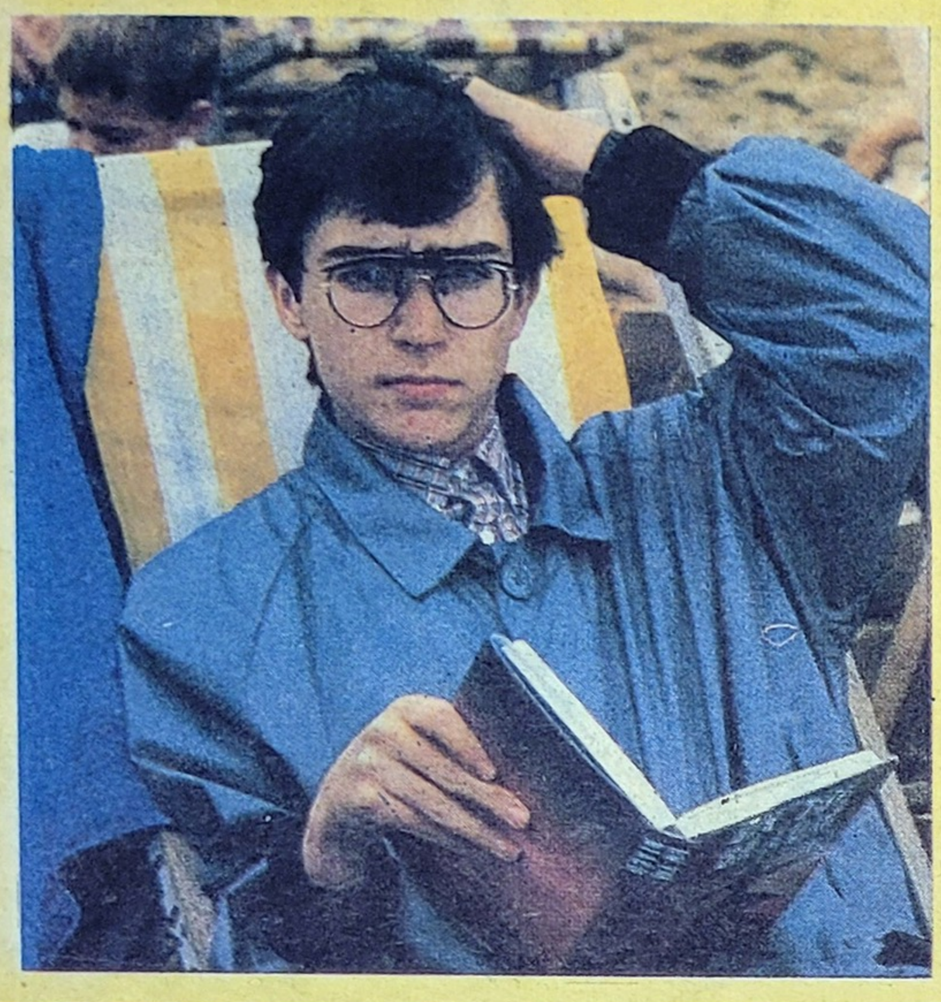

WALT DISNEY

HAPPY BIRTHDAY, MICKEY MOUSE!

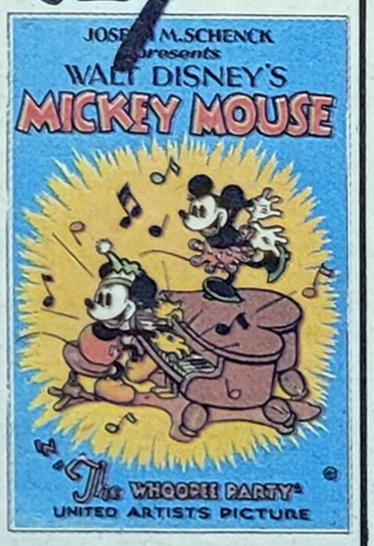

— najlepsze życzenia urodzinowe, Miki!

Mickey Mouse ma już 60 lat! Urodziła się — tu: przecież to pan mysz, a więc urodził się TEN mysz z potrzeby bardzo, bardzo pustego portfela producenta filmowego pana Walta Disneya. Pomysłodawca miał spore kłopoty finansowe, a w dodatku sam nie umiał narysować swojej myszki. Mickey jest naprawdę tworem ołówka Uba Iwerksa, ale już potem każda zmarszczka, każdy grymas, każdy gest Mikusia musiały uzyskiwać aprobatę Disneya.

Mickey miał się ponoć nazywać Mortimer, ale pani Disney uznała, że to zbyt pompatyczne imię dla kogoś tak sympatycznego i wymyśliła „Miki".

Pierwszy film z Mikim powstał w 1928 roku i od tego czasu portfel pana Disneya zmienił swój wygląd. Natomiast niewiele zmieniał się Miki. Prawie od razu miał wspaniałe czteropalczaste rękawiczki i rozklapane, czeplinowskie buty i uśmiechał się łobuzersko od jednego okrągłego ucha do drugiego.

Historycy kina twierdzą, że z latami Miki stawał się jakby bardziej delikatny (może przez kontrast do powstałego w 1934 roku Kaczora Donalda?), milszy i dzielniejszy. I łagodniał — tak jak jego projektodawca, którego był ponoć niemal sobowtórem.

Miki szybko trafił do pism, stał się bohaterem niejednego komiksu, był (i jest) maskotką dzieci i dorosłych. Jedna z jednostek lotnictwa morskiego Stanów Zjednoczonych obrała go nawet za swój znak rozpoznawczy, trafił do kodu operacyjnego aliantów podczas lądowania w Normandii w 1944 roku.

Miki od niemal 50 lat ma wierną towarzyszkę, myszkę Minnie. Zdobył cztery Oscary czyli nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej uznawane za najwyższe odznaczenie filmowe świata. Największy komik wszechczasów — Charlie Chaplin nadał mu godność „kumpla", a twórcy najnowszych znakomitych kreskówek przyznają uczciwie, że ciągle podglądają Mikusia. Tak więc i pszczółka Maja, i Lucky Luck, i wilk z zającem i wszystkie Smurfy zgodnie śpiewają urodzinowe „Happy Birthday" najwspanialszemu myszowi kina.

A my bardzo prosimy Telewizję o urodzinowy pokaz choćby fragmentów mikusiowych przygód.

ŚWIAT na... RÓŻANO

Pod koniec marca (dokładnie w numerze 38 z dnia 29 marca br.) napomykałam nieśmiało o sztucznych kwiatach jako o ewentualnej konkurencji dla kokardek. Chodziło o kwiaty-ozdóbki, które się przypina (do włosów, do bluzek, do pasków i w ogóle gdzie kto chce), aby wyglądać weselej i zabawniej. Napomykałam nieśmiało, bo jeszcze wtedy nie było wiadomo, czy szaleństwo kwiatowe rozwinie się w coś poważniejszego. Dziś wiem już na pewno, że się rozwinęło i że sztuczna róża ma szansę zapanować w najbliższym sezonie zupełnie niepodzielnie. I to nie tylko jako róża-broszka, taka niemal jak żywa róża z jedwabiu, plastiku czy innego tworzywa, ale również jako róża-deseń lub róża-aplikacja, róża-haft...

Przy czym bardzo stylowe jest łączenie jednego użytku. Zasłonki w deseń różany, talerz w deseń różany, a do tej bluzki przypięta róża-broszka. Im więcej róż na człowieku, tym lepiej. Nie tylko na człowieku zresztą — moda różana obejmuje i inne przedmioty powszechnegou użytku. Zasłonki w deseń różany, talerzyki malowane w róże, takie same filiżanki, obrusy, serwetki, powłoczki na poduszki... Jeśli któraś z Was ma w pokoju ściany wyklejone tapetą w różyczki i dotychczas się na ten wzorek strasznie zżymała, powinna przestać — to, co było jeszcze wczoraj uważane za okropne, dzisiaj stało się największym przebojem. Jeszcze bukiecik sztucznych róż tam ustawić (w wazoniku w róże malowanym) i będzie to salon, że ho-ho. Słowo daję!

Róże są różne. Słodkie — delikatne, pastelowe na białym tle oraz agresywne — w intensywnych kolorach na tle granatowym, czerwonym, ciemnozielonym... To jeśli chodzi o desenie. Podobnie ma się rzecz z aplikacjami i haftami, którymi można ozdabiać dosłownie wszystko, np. stare dżinsy też.

Róże sztuczne też są dwojakiego rodzaju. Te „jak żywe" wykonane misternie z kawałków jedwabiu czy innego usztywnianego materiału oraz stylizowane nieduże broszki z plastiku czy metalu. Mogą być oczywiście i różane klipsy, i naszyjniki całe, i bransoletki. Po prostu — cały świat na różano.

RIUSZKA

DOM MODY
świata młodych

ZASADNICZA SZKOŁA GÓRNICZA KOPALNI WĘGLA KAMIENNEGO „SOŚNICA"

44-103 Gliwice-Sośnica, ul. Gen. Sikorskiego 132 Tel. 32-03-91 wew. 4380

OGŁASZA ZAPISY

do klas pierwszych na kierunki kształcenia:

— GÓRNIK KOPALNI WĘGLA KAMIENNEGO
— MECHANIK MASZYN I URZĄDZEŃ PRZERÓBCZYCH
— MECHANIK MASZYN I URZĄDZEŃ GÓRNICTWA PODZIEMNEGO
— ELEKTROMONTER GÓRNICTWA PODZIEMNEGO
— MONTER UKŁADÓW ELEKTRONICZNYCH I AUTOMATYKI PRZEMYSŁOWEJ.

WARUNKI PRZYJĘCIA:

1. Nie przekroczony 18 rok życia
2. Ukończenie szkoły podstawowej
3. Zaświadczenie lekarza górniczej służby zdrowia stwierdzające przydatność do zawodu górniczego. Skierowania na badania lekarskie udziela dyrekcja szkoły, do której należy zgłosić się osobiście.

PRZY ZAPISIE NALEŻY:

— złożyć do dyrekcji szkoły podanie podpisane przez kandydata oraz jego rodziców lub opiekuna,
— złożyć ostatnie świadectwo szkolne,
— za pośrednictwem dyrekcji szkoły zawrzeć umowę z zakładem pracy.

Szczegółowych informacji dotyczących przyjęcia do szkoły udziela dyrekcja szkoły.
Podanie należy złożyć niezwłocznie w dyrekcji szkoły.

KOPALNIA PROWADZĄCA SZKOŁĘ ZAPEWNIA:

1. Wysoką pomoc materialną w gotówce
2. Dodatek adaptacyjny w gotówce dla uczniów klas III
3. Ekwiwalent pieniężny za 2 tony węgla rocznie dla uczniów nie korzystających z zakwaterowania w internacie
4. Premię do wysokości 50% stawki miesięcznej pomocy materialnej płatnej w gotówce dla wszystkich uczniów klas II i III wyróżniających się dobrymi postępami w nauce
5. 50% stawki miesięcznej pomocy materialnej w gotówce w okresie ferii letnich (lipiec, sierpień)
6. Codzienny posiłek regeneracyjny podczas zajęć szkolnych dla wszystkich uczniów
7. Umundurowanie
8. Korzystanie z ferii szkolnych na równi z uczniami szkół zawodowych podległych Min. Oświaty i Wychowania
9. Bezpłatne wyposażenie uczniów w komplet podręczników i przyborów szkolnych na okres nauki w szkole
10. Bezpłatne zakwaterowanie w internacie.

UKOŃCZENIE SZKOŁY UPRAWNIA ABSOLWENTÓW:

— do noszenia odznaki absolwenta zasadniczej szkoły górniczej
— do wstępu do 3-letniego technikum górniczego dla młodzieży niepracującej
— do uzyskania stanowisk, na które wymaga się kwalifikacji górniczych.

Absolwentom Zasadniczej Szkoły Górniczej zalicza się czas nauki w szkole, w wymiarze jednego roku, do okresu pracy wymaganego do uzyskania specjalnego wynagrodzenia z Karty Górnika.
Dojazd do szkoły — autobusami linii nr 32 lub 702, z Gliwic lub Zabrza.

K-54

Dziś TOMIK o kosmitach, a właściwie o możliwościach ich odszukania. Nie przypadkowo też w zestawie znalazł się artykuł Zbigniewa Gołąba o pulsarach. Charakteryzując ten typ gwiazd nie wspomina, że były one w przeszłości przyczyną przedwczesnych nadziei odkrycia sygnałów istot rozumnych. O pomyłkę nie było trudno, bowiem regularne impulsy radiowe mogły zasugerować, że oto KTOŚ z głębin kosmosu daje znać o swoim istnieniu. Później, po dokładnych analizach tych impulsów okazywało się, że „nadają" je pulsary.

PREZES

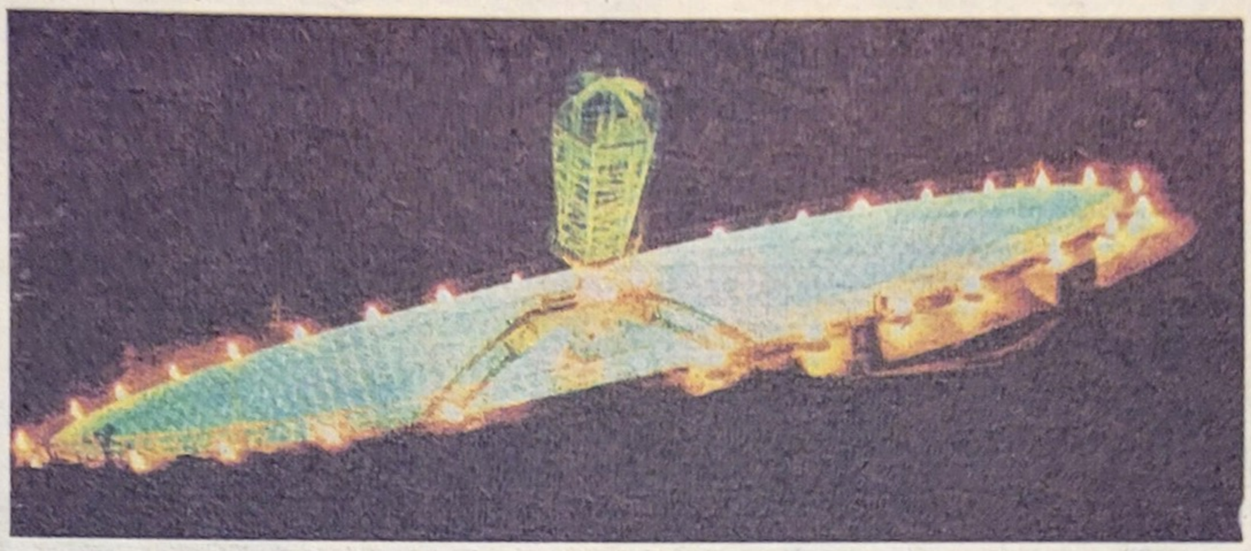

Nowe „oko" astronomów

Poszukiwania cywilizacji pozaziemskich możliwe są tylko za pomocą radioteleskopów, prowadzą one po prostu rejestrację sygnałów płynących z głębin kosmosu. Analiza tych „radiodepesz" daje odpowiedź, czy są one pochodzenia sztucznego czy naturalnego.

Na zdjęciu widzicie nowy i w dodatku największy radziecki radioteleskop zainstalowany na górze Aragac w Armenii na wysokości 1800 m n.p.m. Posiada średnicę zwierciadła 54 m, a cały system zajmuje powierzchnię pół hektara. Zwierciadło, składające się z 4 tysięcy aluminiowych płyt, jest nieruchome (oszczędność energii), natomiast zmianę kierunku odbierania sygnałów radiowych dobiegających z kosmosu osiąga się za pomocą małego ruchomego zwierciadła. Z tym wielkim radioteleskopem współpracuje zwykły teleskop optyczny o średnicy lustra 2,6 metra. Taki układ podwójny zwielokrotnia możliwości badawcze astronomów.

I na koniec sensacyjna wiadomość: otóż w czasie obserwacji próbnych, dokonano w gwiazdozbiorze Bliźniąt, na gwieździe oznaczonej grecką literą eta, odległej od Ziemi o 250 mln lat świetlnych, potężnego błysku promieniowania radiowego. Gwiazda eta należy do tzw. czerwonych gigantów, na których tego typu zjawisk dotąd nie obserwowano. Odkrycie to mówi nam, jak mało ciągle wiemy o naturze gwiazd i innych „mieszkańców" wszechświata.

GDZIE SZUKAĆ KOSMITÓW?

Naturalnie nie w obrębie naszego układu planetarnego. Wszystkie planety (poza Ziemią) są, niestety, martwe. Jeśli ONI istnieją, to tylko w innych układach, przy innych gwiazdach-słońcach. Aleksander Archipow, pracownik moskiewskiego Instytutu Radioastronomii ogłosił nową hipotezę o sposobach poszukiwania cywilizacji pozaziemskich. Zakłada on, że jeśli gdzieś powstała cywilizacja, to charakteryzuje się ona jakąś działalnością wytwórczą, przemysłową, naukową. Towarzyszyć jej musi promieniowanie radiowe (jako skutek wewnętrznego systemu łączności) o częstotliwości od 100 do 1000 megaherców. W tym właśnie szerokim zakresie należy prowadzić poszukiwania promieniowania radiowego naszych odległych „braci".

Archipow sądzi, że ze względów ekologicznych inne cywilizacje rozmieszczają zapewne najbardziej energochłonne rodzaje produkcji w strefach położonych poza granicami własnej planety. Biorąc to wszystko pod uwagę uczony radziecki uważa, że za pomocą współczesnej aparatury radiowej można dostrzec strefy przemysłowe cywilizacji pozaziemskich w postaci słabych źródeł promieniowania. Szukać ich natomiast należy w pobliżu tzw. żółtych karłów, czyli gwiazd przypominających Słońce. Owe źródła promieniowania radiowego powinny leżeć w odległości około jednej minuty kątowej od macierzystej gwiazdy. Wśród 4050 żółtych karłów Archipow znalazł dziewięć, w okolicy których zarejestrowano źródła promieniowania radiowego.

Inna sprawa, to udowodnienie, że są one pochodzenia sztucznego, a więc, że promieniowanie to jest rezultatem działania istot rozumnych. Takiego dowodu nikt na Ziemi, jak do tej pory, nie uzyskał.

Być może również te 9 źródeł promieniowania radiowego jest pochodzenia naturalnego, jak to się w przeszłości potwierdzało już wielokrotnie. Archipow jest jednak optymistą i wierzy, że wcześniej czy później odbierzemy sygnał, który na pewno będzie wytworem „kosmicznego rozumu".

PULSAR — gwiazda neutronowa

Co to są pulsary? Są to obiekty kosmiczne, które wysyłają w cykliczny sposób krótkotrwałe impulsy fal radiowych.

W roku 1967 studentka z uniwersytetu w Cambridge w Wielkiej Brytanii Jocelin Bell zwróciła uwagę na krótkotrwałe impulsy radiowe trwające 0,1 sekundy i powtarzające się w precyzyjnie równym odstępie 1,33 sekundy. Takie szybkie powtarzanie się silnych i krótkotrwałych błysków było niezgodne ze skalą rozmiarów. Jednak w krótkim czasie potem, zaobserwowano dziesiątki innych takich obiektów, które były rozrzucone w różnych punktach nieba.

Najkrótszy okres (0,033 s) jaki w ogóle zaobserwowano to był pulsar znajdujący się w samym centrum mgławicy Krab, który powstał po wybuchu supernowej. Natomiast, najdłuższy znany okres wynosi 3,7 sekundy, ale większość zaobserwowanych pulsarów ma okresy zawarte w przedziale od 0,5 do 1,5 sekundy.

Wszystkie pulsary charakteryzuje ogromna stałość okresu np. w ciągu doby przy okresie równym 1 sekundzie można by obserwować 86400 impulsów. Tak więc trwanie okresu można łatwo badać i kontrolować. Obserwując pulsar przez kilkadziesiąt minut oraz nakładając na siebie wiele kolejnych impulsów można też otrzymać wygląd uśrednionego impulsu. Jednak ciekawym faktem jest to, że mimo tak znacznej nieregularności oddzielnych impulsów ich własności są stałe. Tę wielką stałość może jedynie zapewnić, według praw fizyki, obracanie się niewielkiego obiektu. Jeśli jest to gwiazda, to musiałaby być bardzo mała i masywna, bo inaczej siły odśrodkowe pojawiające się w tempie kilkudziesięciu obrotów na sekundę rozerwałyby ją dawno.

Obecnie przypuszcza się, że pulsarami mogą być gwiazdy neutronowe. Jedynym materiałem gwiazdy byłaby materia neutronowa z elektronami „wprasowanymi w protony (gdy swobodne elektrony łączą się z protonami, tworzą elektrycznie obojętne neutrony). Gęstość takiej materii, która sięga 10^{16} g/cm³ są trudne do wyobrażenia. Największe dotychczas supertankowce pełne ładunku ważą około pół miliona ton. Gdyby udało się kilka takich olbrzymich statków umieścić w jednym milimetrze sześciennym, to otrzymalibyśmy materię neutronową.

A skąd się biorą impulsy? Impulsy te informują nas o tym, że wokół gwiazdy istnieje bardzo silne pole magnetyczne. Mają one natężenia 10^{12} razy większe od pola ziemskiego i są największymi polami istniejącymi w przyrodzie. Przypuszcza się, że pulsary mogą wysyłać promieniowanie radiowe jedynie w wąskim stożku, które wyznaczone jest przez zbieżność pola magnetycznego. W ten sposób gwiazda neutronowa przemiata swym promieniowaniem przestrzeń wokół siebie w dwóch wąskich pasach skierowanych zgodnie z ustawieniem biegunów magnetycznych względem osi obrotu. Zjawisko emisji promieniowania elektromagnetycznego jest nie w pełni zrozumiałe. Większość badaczy zwraca uwagę na fakt, że pole magnetyczne oraz związana z nim materia osiągają prędkość kilkudziesięciu tysięcy kilometrów przy okresie obrotu równym 1 sekundzie.

Obserwacja zarejestrowanych impulsów w ciągu miesięcy i lat umożliwia wywnioskować, że okresy pulsarów ulegają powolnemu wydłużaniu. Wszystkie pulsary zwalniają swe obroty, a tempo zwolnienia informuje nas, jak długo mogą trwać pulsary. Bo im krótszy jest okres pulsara, tym on jest „młodszy", np. wiek pulsara w mgławicy Krab zgadza się z oceną wieku mgławicy, która jak wiemy powstała w 1051 r. Wiek innych pulsarów liczy dziesiątki a nawet setki milionów lat. Jedynym problemem w dzisiejszych czasach jest pochodzenie pulsarów. Jedno jest pewne, że powstają one w wyniku wybuchu gwiazdy supernowej. Ten potężny wybuch wyrzucając większą część materii pozostawia gwiazdę neutronową.

Zbigniew Gołąb
ul. Wery Kostrzewy 1/30, 96-100 Skierniewice

w takich warunkach nie mogło być mowy. Położył się i powtórnie zasnął.

Kiedy przebudził się po raz drugi monotonne bębnienie o ściany namiotu trwało nadal. Wyjrzał na zewnątrz. Chlupotały rwące strumienie, a za drżącą firanką wody rodził się szary świt. Nic nie zapowiadało zmiany pogody.

Siadł na stercie koców pełen najbardziej ponurych myśli. Deszcz uniemożliwiał ucieczkę, ten sam deszcz na pewno uniemożliwił nadejście odsieczy. Ale... może to nawet i dobrze. Przecież Indianie stawialiby opór, doszłoby do walki. Nic gorszego nie mogłoby się przydarzyć!

— Niech to piorun strzeli! — mruknął. — Co za zły duch wpędził mnie w takie tarapaty! I dlaczego?

Sięgnął do bocznej kieszeni kurty po fajeczkę z wiśniowego drzewa. Wtedy przypomniał sobie, że wyrzucił kapciuch z całym zapasem tytoniu. To mu popsuło humor jeszcze bardziej.

„Głodno, zimno i do domu daleko — pomyślał. — Co mnie jeszcze czeka?"

Istotnie czuł głód i czuł chłód, a perspektywa otrzymania ciepłej strawy była bardziej niż wątpliwa. Któż zdoła rozpalić ognisko podczas takiego potopu?

Owinął się derką i udał, że śpi. Deszcz, uniemożliwiający ucieczkę, zapowiadał nową wizytę Indian i długie rozmowy. Bo cóż mają Indianie innego do roboty w czasie takiej pluchy? Na pewno wkrótce zjawi się tu Wielki Niedźwiedź — sam lub ze świtą — i znów będzie wiercić dziurę w brzuchu z powodu idiotycznego przekazu o skamieniałym słońcu. Grant postanowił udawać, że jest pogrążony w głębokim śnie. Może mu dadzą spokój?

Leżał z zamkniętymi oczyma, ale że słuch miał czujny, z plusku i bębnienia strug wody wyodrębnił szelest derki wiszącej u wejścia. Zerknął ukradkiem i dostrzegł okutaną postać indiańskiej dziewczyny. Trzymała oburącz naczynie, które postawiła na ziemi, zdjęła przykrywający je kawałek skóry i wyszła bez słowa. Grant poczuł zapach gotowanego mięsa. Podniósł się, zajrzał do garnka i żwawo zabrał się do śniadania. Kiedy zjadł ostatni kęsek rozgotowanej sarniny wraz z brunatnym sosem, wrócił na swój barłóg, by nadal udawać, że śpi. Nie zasnął naprawdę.

Przebudzenie było niezbyt przyjemne. Poczuł dotyk dłoni na swym ramieniu i ujrzał pochyloną sylwetkę Wielkiego Niedźwiedzia.

— Witaj — powiedział nadrabiając miną i tłumiąc ziewanie.

— Witaj, ojcze Grant. Sądzę, że wypocząłeś w ciszy i spokoju.

— Usiądź — Grant podniósł się wskazując przybyłemu miejsce na stosie derek.

Indianin zrzucił z siebie przemoczoną płócienną płachtę z rodzaju tych, jakimi nakrywa się farmerskie wozy.

— Co za okropna pogoda — zagaił traper.

Wiedział, że — indiańskim zwyczajem — gość nie odezwie się pierwszy.

— Okropna — zgodził się Indianin — ale dobra dla przypomnienia sobie dni, jakie minęły, i spraw, które się dawno wydarzyły. Mój ojciec, pamiętam, chociaż wówczas byłem jeszcze dzieckiem, często powtarzał: „Kto nie wspomina przeszłości, ten nie czerpie nauki z doświadczeń, kto nie czerpie nauki z doświadczeń, temu trudniej jest żyć."

— Twój ojciec był mądrym człowiekiem — przyznał Grant. — Wiele się od niego nauczyłem.

Rozmowa urwała się. Ciszę mącił jedynie nieprzerwany szum deszczu. Indianin wydobył z kieszeni kurty skórzany woreczek.

— Zapal, ojcze — powiedział wręczając go traperowi.

Grant ucieszył się. Jednocześnie pomyślał, że „prawdziwy" Indianin nosi zawsze swój tytoń, czyli kinnikinik, w woreczku uwiązanym u szyi wraz z fajką i amuletem. Wielki Niedźwiedź przejął zwyczaje bladych twarzy. A jego towarzysze? Podczas wczorajszej narady przy ognisku nie zauważył na szyjach Indian ani woreczków z amuletami, ani fajek.

Nabił swą fajkę. Wielki Niedźwiedź podał mu zapałki. Ongiś, przy ogniskach czerwonoskórych, traper zapalał fajkę rozżarzonym węgielkiem, a ognisko rozpalano za pomocą punksu — kawałka deseczki i zaostrzonego kołka. Teraz usłużna Kompania Zatoki Hudsona dostarczała Indianom zapałek! Co za czasy!

Z lubością zaciągnął się i poczuł smak i zapach znakomitego tytoniu. To nie był kinnikinik — mieszanka startej na proszek kory wierzbowej, suszonych ziół i szczypty kiepskiego tytoniu. Okropne paskudztwo, a jednak Grant zatęsknił za nim. A może za latami młodości?

Cdn

MONSTRUM

TEKST I RYSUNKI
TADEUSZ RACZKIEWICZ

19

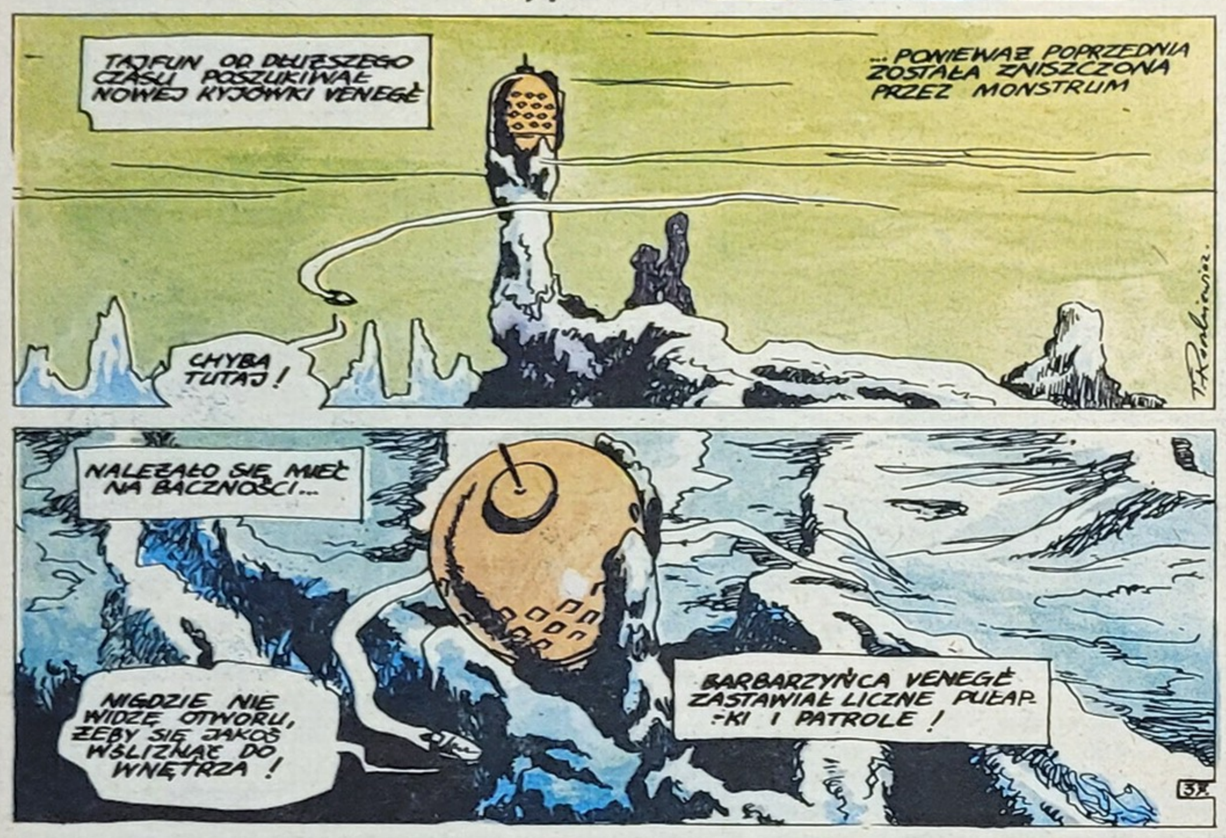

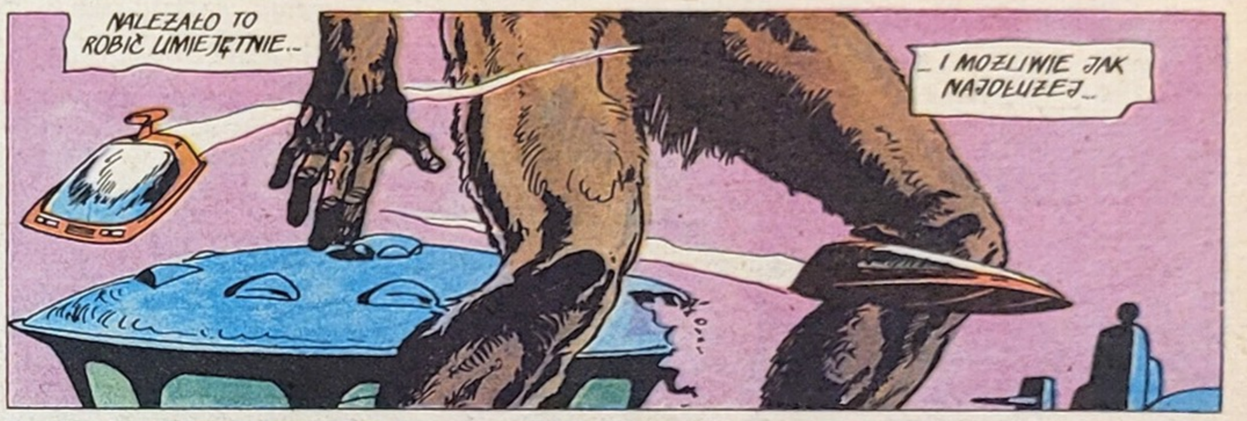

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 61 (4456)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-3214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. TELEX 81-36-58.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42, **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48, **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-28.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-138-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne:
Szarlota Pawel
Opracowanie techniczne:
Wiesława Chmielewska
Korekta:
Barbara Boguszewska
Zakłady Graficzne
„Dom Słowa Polskiego"
Zam. 1943/G/88. U-22. Nakład 439 000 egz.

UŚMIECH NUMERU

PAŃSTWO MĄDRALOWIE jadą swoim fiatem. W pewnym momencie pan Mądrala czuje, że złapał gumę. Zatrzymuje wóz, a pani Mądralowa wychodzi sprawdzić.

— Wiesz co — mówi do męża — ta opona tylko u dołu jest trochę płaska; po bokach i u góry można na niej jechać!

★

— BOLI MNIE żołądek! — skarży się bratu Mądralówna.

— Bo pewnie masz pusty!? — żartuje Mądrala.

— Aha — odcina się mała — to już rozumiem, dlaczego ciebie tak często boli głowa...

W NOWEJ FUNDLANDII

WIESŁAW WERNIC 56

„Zdechł pies! — pomyślał Grant. — Całkiem zwariowali!" — Przekonał się teraz ostatecznie, że pod cienką powłoką białej kultury kryje się niepojęta dusza Indianina, pełna przesądów, tradycyjnych wierzeń i zabobonów.

— Jakież były te ostatnie słowa? — Grant jakby się namyślał. — Pamięć mnie zawodzi. Mówisz, że Ten-który-się-nie-myli zdradził mi, gdzie ukryto skamieniałe słońce? Skąd wiesz o tym? Ja nie wiem. Nie pamiętam.

— Nie mogło stać się inaczej. Każdy wódz narodu Beothuk przekazywał swemu synowi tę wielką tajemnicę, a skoro wówczas zabrakło mnie przy ojcu, musiał ją przekazać tobie. Przypomnij sobie, że po pogrzebie mego ojca, nim odszedłeś, by więcej nie wrócić, pytałeś moją matkę i jej brata, co znaczą słowa „skamieniałe słońce". Czy zaprzeczysz?

— Nie zaprzeczę, skoro tak mówisz — odparł Grant — bo ci ufam.

Czy istotnie rozmawiał wówczas z matką Wielkiego Niedźwiedzia? Pamięć go naprawdę zawodziła, lecz ponieważ Indianin tak twierdził... Widać z nią rozmawiał, i nie tylko z nią. Z tragicznego wypadku, który wydarzył się podczas polowania, musiał przecież składać szczegółową relację nie tylko garstce Beothuków, lecz także przywódcom narodu Montagnais. Poczuł się przyparty do muru. Co robić?

Było rzeczą oczywistą, że ta garstka wojowników nie może pokonać mrowia białych, lecz wielu z nich może poranić i pozabijać, zanim ostatni Indianin padnie od kuli policji i rozwścieczonych farmerów.

— Niech moi czerwoni bracia — westchnął głęboko — pozwolą mi przemyśleć tamte stare dni. Może mgła niepamięci rozwieje się...

Był to wykręt, dość zresztą prymitywny. Jednak — ku radości Granta — tamci zgodzili się odłożyć sprawę do następnego dnia. Odprowadzono trapera do tipi. Legł na stercie derek, bardzo wyczerpany.

Mrok okrył już ziemię, na czarnym niebie nie było ani księżyca, ani gwiazd. Nadpłynęły chmury, wiatr ucichł, a z dalekich krańców horyzontu nadleciał pierwszy pomruk nadciągającej burzy. W tipi zapadła nieprzenikniona ciemność. Ale Grant nie mógł zasnąć. Pierwszą jego myślą, gdy położył się na derkach, było: „Muszę stąd wiać, jeszcze tej nocy". Następną myślą było pytanie: „Co to jest skamieniałe słońce?" Czyżby jakaś potężna, tajemnicza broń, dzięki której Indianie zdołaliby pokonać wrogów? Lecz natychmiast odrzucił takie przypuszczenie. Jakąż to broń przed setkami lat mogli otrzymać Indianie posługujący się do niedawna dzidą i łukiem? Przecież dopiero podczas pobytu wśród Montagnais nauczyli się obchodzić ze strzelbami! Więc co to mogło być? Może kamienne siekiery i maczugi z krzemienia, który swą barwą niekiedy upodabnia się do żółtych promieni słońca?

Po dłuższym namyśle Grant i to przypuszczenie odrzucił. Doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej „cudownym kamieniem" jest indiański totem. Totemom przypisywali Indianie czarodziejską moc.

Tak dumając — zasnął.

Śniły mu się — jak później opowiadał — jakieś smoki wyłażące spod ziemi, a koszmar zakończył sturęki potwór wypływający z czarnego jak smoła leśnego jeziorka i zmierzający w stronę Granta, któremu nogi wrosły w ziemię. Obudził się z bijącym sercem i mokry od potu. Półprzytomny siadł na posłaniu, a gdy wreszcie ocknął się całkowicie, usłyszał szum wody i donośne jej bębnienie po pokryciu namiotu. Wstał, by odsłonić derkę zawieszoną nad wejściem.

Ciemność wisiała nad ziemią. Z niewidocznego nieba spadała istna rzeka, pluszcząc i dudniąc niby wodospad Niagary, który stary Grant miał okazję wielokrotnie oglądać. O ucieczce

Dokończenie na str. 7